

Ferdinand von
SCHIRACH



W
yda wnic
ab
two

TABU

Ferdinand von Schirach

TABU

przełożyła Anna Kierejewska



Tytuł oryginału: *Tabu*

Copyright © 2013 by Piper Verlag, GmbH, München

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Anna Kierejewska, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

SPIS TREŚCI

Motto

Zielony

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Czerwony

Niebieski

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Biały

Nota

*Jeśli widma kolorów,
zielni, czerwieni i niebieskiego,
połączą się w jednakowej proporcji,
wydadzą się nam bielą.*

(teoria koloru według Helmholtza)

Pewnego pogodnego dnia wiosną roku tysiąc osiemset trzydziestego ósmego w Paryżu, przy Boulevard du Temple, powstała nowa rzeczywistość. Odmieniła ona ludzkie postrzeganie, wiedzę i pamięć. Ostatecznie odmieniła też prawdę.

Daguerre był francuskim scenografem teatralnym. Chciał tworzyć dekoracje, które wyglądałyby jak prawdziwe. Przez otwór w drewnianej skrzynce wystawił na działanie światła płytki pokryte jodkiem srebra. Potem z oparów rtęci wyłaniało się to, co znajdowało się przed skrzynką. Trwało jednak długo, zanim sole srebra zaczęły wchodzić w reakcję. Konie i spacerowicze poruszali się za szybko, ruch był jeszcze nie do uchwycenia, światło pozostawiało na płytkach jedynie domy, drzewa i ulice. Daguerre wynalazł fotografię.

Na zrobionym przez niego zdjęciu z tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku wśród nieostrych zarysów dorożek i ludzi zaskakująco wyraźnie widać mężczyznę. Podczas gdy wokół niego wszystko pędzi, on stoi nieruchomo, ręce skrzyżowane ma na plecach. Jedynie jego głowa jest niewyraźna. Mężczyzna nic nie wiedział o Daguerze ani o jego wynalazku, był przechodniem, któremu czyszczono buty. Aparat zarejestrował zarówno jego, jak i pucybuta – to byli pierwsi ludzie, jacy pojawili się na fotografii.

Sebastian von Eschburg często myślał o tkwiącym w bezruchu mężczyźnie i jego rozmazanej głowie. Jednak dopiero teraz, kiedy te wydarzenia miały już miejsce i nikt już nie mógł cofnąć biegu rzeczy, zrozumiał – to on był tym mężczyzną.

Zielony

W połowie drogi między Monachium a Salzburgiem, nieco w bok od głównych dróg, leży wieś Eschburg. Z zamku, od którego wioska wzięła swoją nazwę, zostało na wzgórzu tylko trochę kamieni. Jeden z Eschburgów był w osiemnastym wieku bawarskim konsulem w Berlinie, a kiedy wrócił, wybudował nad jeziorem nowy dom.

Na początku dwudziestego wieku Eschburgowie mieli jeszcze pieniądze. Posiadali wówczas papiernię i przedalnię. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku w katastrofie „Titanica” zginął ich pierworodny syn i spadkobierca, z czego rodzina była później trochę dumna. Zarezerwował kajutę w pierwszej klasie i podróżował w towarzystwie psa. Zrezygnował z wsiadania do łodzi ratunkowej najprawdopodobniej dlatego, że był pijany.

Jego młodszy brat sprzedał przedsiębiorstwa należące do rodziny, obracał pieniędzmi, a podczas inflacji w latach dwudziestych stracił znaczną część majątku. Po tym wszystkim zawsze brakowało funduszy, żeby gruntownie wyremontować dom. Z murów tynk odpadał płatami, zimą nie ogrzewano obu bocznych skrzydeł, a dachy porastał mech. Wiosną i jesienią na strychu stały blaszane wiadra, w których zbierała się deszczówka.

Prawie wszyscy Eschburgowie byli myśliwymi oraz podróżnikami i przez dwieście pięćdziesiąt lat wypełniali pomieszczenia domu przedmiotami, które im się podobały. W holu wejściowym znajdowały się trzy stojaki na parasole wykonane z nóg słońi, obok na ścianie wisały średniowieczne piki – długie włócznie, używane podczas polowania na dzika. W korytarzu na górze leżały dwa wypchane krokodyle wbite w siebie zębami, jednemu z nich wypadło szklane oko, drugiemu brakowało kawałka ogona. W pomieszczeniu gospodarczym stał ogromny niedźwiedź brunatny, na brzuchu prawie całkiem wyliniał. Bibliotekę zdobiły czaszki kudu i antylopy oryks, na jednym z regałów między dziełami Goethego i Herdera tkwiła głowa zezowatego gibona. Przy kominku stały bębny, rogi myśliwskie oraz kciukowe pianina z Konga. Dwa

afrykańskie bożki płodności z hebanu, czarne i poważne, siedziały przy wejściu do pokoju z bilardem.

W korytarzach obok powiększonych reprodukcji znaczków z Indii i rysunków tuszem z Japonii wisiały obrazy świętych z Polski i Rosji. Były też chińskie koniki z drewna, grotty oszczepów z Ameryki Południowej, żółte kły niedźwiedzia polarnego, głowa miecznika, stołek na czterech kopytach oryksa szablorigiego, strusie jaja oraz drewniane skrzynie z Indonezji, do których klucze dawno przepadły. W jednym z pokoi gościnnych znajdowały się stylizowane na barokowe meble z Florencji, w kolejnym stolik z witryną, a w środku niej brosze, papierośnice i Biblia ze srebrnym zamknięciem, przechowywana od pokoleń.

Na skraju parku była stajnia z pięcioma boksami dla koni. Po ścianach wił się bluszcz, a spomiędzy kostek brukowych na podwórzu wyrastała trawa. Z okiennic schodziła farba, woda w kranach była brązowa od rdzy. W dwóch boksach suszyło się drewno kominkowe, w kolejnym zimą przechowywano wielkie donice ogrodowe, sól do sypania i paszę dla dzikich zwierząt.

W tym domu Sebastian przyszedł na świat. Jego matka chciała rodzić w szpitalu w Monachium, ale samochód długo stał na mrozie i nie chciał zapalić. Podczas gdy ojciec wciąż próbował uruchomić auto, u kobiety zaczęły się skurcze. Ze wsi przyjechał aptekarz z żoną, ojciec Sebastiana czekał na korytarzu pod drzwiami pokoju. Kiedy dwie godziny później aptekarz zapytał mężczyznę, czy chce przeciąć pępowinę, ten ryknął na niego, że rozrusznik jest przecież zepsuty. Po wszystkim przeprosił go, ale we wsi długo jeszcze dyskutowano, co miał na myśli.

W rodzinie Sebastiana dzieci nigdy nie znajdowały się w centrum uwagi. Uczono je, jak trzymać sztućce podczas posiłku, jak całować w rękę oraz że dziecko powinno możliwie jak najrzadziej się odzywać. Jednak na ogół nie zajmowano się nimi. Kiedy Sebastian miał osiem lat, po raz pierwszy wolno mu było usiąść z rodzicami do stołu.

Chłopiec nie wyobrażał sobie, by mógł mieszkać gdzie indziej. W hotelach, podczas rodzinnych wyjazdów na wakacje, czuł się obco. Cieszył się, gdy wracał i zastawał wszystko na swoim miejscu: ciemne deski podłogowe

w korytarzach, stare kamienne schody i miękkie popołudniowe światło w zapadającej się kaplicy.

W życiu Sebastiana od zawsze współistniały dwa światy. Siatkówka jego oka rejestrowała fale elektromagnetyczne z zakresu między trzysta osiemdziesiąt i siedemset osiemdziesiąt nanometrów, mózg odróżniał je w dwustu barwach, pięćuset stopniach jasności i dwudziestu różnych rodzajach nasycenia bieli. Sebastian widział to, co pozostali ludzie. Jednak kolory, które on dostrzegał, były inne. Nie posiadały nazw, bo nie wystarczało dla nich słów. Ręce niani miały kolor cyjanu i bursztynu, zdawało mu się, że jej włosy mieniły się na fioletowo z domieszką ochry, skóra ojca była bladą, zielononiebieską powłoką. Jedynie jego matka nie miała żadnego koloru. Przez długi czas Sebastianowi wydawało się, że składa się z wody i dopiero kiedy on wchodzi do jej pokoju, przybiera znajomą wszystkim postać. Za każdym razem podziwiał szybkość, z jaką udawała jej się ta przemiana.

Kiedy nauczył się czytać, również i litery zyskały kolory. „A” było czerwone jak sweter nauczycielki z wiejskiej szkoły lub flaga Szwajcarii, którą widział poprzedniej zimy na górskiej chacie, nasyciona, intensywna, wyraźna czerwień. „B” było dużo delikatniejsze, żółte, i pachniało jak pola rzepaku przy drodze do szkoły. Unosiło się w pomieszczeniu nad jasnozielonym „C”, wyżej, pogodniej niż ciemnozielone „K”.

Ponieważ wszystkie rzeczy oprócz dostrzegalnego koloru posiadały jeszcze inny, niedostrzegalny, mózg Sebastiana zaczął porządkować ten świat. Z czasem powstała mapa kolorów, znajdowały się na niej tysiące ulic, uliczek oraz placów i co roku dochodziła kolejna warstwa. Potrafił poruszać się po tej mapie, dzięki kolorom odnajdywał swoje wspomnienia. Stała się ona obrazem jego dzieciństwa. Kurz w domu miał na tej mapie kolor czasu, ciemnej, łagodnej zieleni.

Nie mówił o tym, wciąż sądził, że każdy człowiek widzi to samo. Nie znosił, kiedy matka ubierała go w kolorowe swetry, wściekał się, darł je albo zakopywał w ogrodzie. W końcu udało mu się postawić na swoim i przekonać, by mógł chodzić tylko w typowych w tamtej okolicy granatowych tunikach; do dziesiątego roku życia były one jego codziennym strojem. Zdarzało się, że la-

tem zakładał czapkę tylko dlatego, że miała właściwy kolor. Niania przeczuwała, że Sebastian jest inny. Zauważał, kiedy użyła innych perfum czy pomalowała usta inną szminką. Co jakiś czas dzwoniła do swojego chłopaka z Lyonu, rozmawiała po francusku, ale zdawało jej się, że Sebastian rozumie obcy język, jakby wystarczała mu sama barwa jej głosu.

W wieku dziesięciu lat Sebastian został zapisany do szkoły z internatem. Tak samo było w wypadku jego ojca, dziadka i pradziadka, a że rodzina nie miała już pieniędzy, otrzymał stypendium. Kierownictwo internatu wysłało do domu chłopca list. Jasno określono, jakie ubranie należy przywieźć, ile par spodni, ile swetrów i piżam. Kucharka musiała na każdą rzecz naszyć numerek, żeby w internatowej pralni odzież się nie pomieszała. Kobieta płakała, znosząc ze strychu walizkę, a ojciec Sebastiana powiedział rozdrażniony, że ma przestać lamentować, chłopak nie idzie przecież do więzienia. Ale i tak rozpaczła i chociaż w liście wyraźnie tego zabroniono, pomiędzy czyste koszule włożyła słoik marmolady i trochę pieniędzy.

Właściwie nie była kucharką, w ich domu nie zatrudniano służby od dawna. Należała do rodziny jako daleka ciotka, za lepszych czasów była gospodynią i kochanką niemieckiego konsula w Tunezji. Mężczyzna nic jej nie zostawił. Cieszyła się, że mogła zamieszkać u Eschburgów. Czasami wypłacano jej pensję, ale na ogół zapewniano jej tylko wikt i opierunek.

Do internatu, do którego ojciec miał go zawieźć, chłopiec chętnie zabrałby białe jaskry, siwe pliszki, latające nad jeziorem, i rosnące przed domem platan. Jego pies leżał w słońcu, miał ciepłą sierść, Sebastian nie wiedział, co ma mu powiedzieć. Zwierzę zdechło pół roku później.

Podczas podróży do internatu Sebastian mógł zająć miejsce z przodu. Kiedy na dłuższych trasach siedział na tylnym siedzeniu starego auta, robiło mu się niedobrze. Spoglądał przez okno, wyobrażał sobie, że świat dopiero powstaje i może się okazać, że nie został na czas ukończony, jeśli ojciec będzie jechał zbyt szybko.

Kiedy minęli sady rosnące nad wielkim jeziorem, nazwanym przez ojca Szwabskim Morzem, dojechali do granicy szwajcarskiej. Ojciec powiedział, że pomiędzy Niemcami i Szwajcarią znajduje się ziemia niczyja. Sebastian długo potem zastanawiał się, jak wyglądają ludzie mieszkający na ziemi niczyjej, w jakim mówią języku i czy w ogóle jakiś mają.

Funkcjonariusz straży granicznej wyglądał dostojnie w swoim mundurze. Skontrolował nowy paszport Sebastiana, zapytał nawet, czy ojciec ma coś do oclenia. Sebastian wpatrywał się w pistolet funkcjonariusza, znajdujący się w wysłużonej kaburze. Chłopiec żałował, że mężczyzna nie musi go wyciągnąć.

Po drugiej stronie granicy ojciec wymienił pieniądze i kupił w sklepiku czekoladę. Powiedział, że zawsze trzeba tak robić, kiedy jedzie się do Szwajcarii. Każdy batonik był oddzielnie zapakowany, na sreberkach znajdowały się obrazki: wodospad na Renie niedaleko Schaffhausen, Matterhorn, krowy i bańki na mleko przed oborą, Jezioro Zurychskie.

Jechali wyżej, w góry, zrobiło się chłodniej, zamknęli okna w aucie. Szwajcaria to jeden z największych krajów na świecie, opowiadał ojciec, gdyby rozciągnąć powierzchnię gór, wtedy byłaby tak duża jak Argentyna. Drogi stawały się węższe, widzieli gospodarstwa, kamienne wieże kościelne, rzeki, górskie jezioro.

Kiedy przejeżdżali przez wyglądającą na szczególnie zadbaną wieś, ojciec oznajmił, że mieszkał tam Nietzsche. Wskazał na dwupiętrowy dom, na parapetach stały pelargonie. Sebastian nie wiedział, kim był ten Nietzsche, ale ojciec powiedział to z takim smutkiem, że zapamiętał to nazwisko.

Jechali wśród skał jeszcze jakieś trzydzieści kilometrów i w końcu zatrzymali się w miasteczku, przy rynku. Przybyli trochę za wcześnie, więc pospa-

cerowali wąskimi uliczkami. Stały przy nich dwu- i trzypiętrowe kamienice z małymi oknami, wygiętymi w łuk bramami i grubymi murami, chroniącymi przed srogim zimnem. Dostrzegli stamtąd budynek internatu, barokowy zespół klasztorny. Fontannę z posągami Maryi otaczały arkady, dalej stały dwie wieże imponującej kolegiaty.

Powitał ich dyrektor internatu, miał na sobie brązowy habit, benedyktyński. Sebastian usiadł na sofie obok ojca. Za szybą, we wnęce, stała Madonna. Jej usta były maleńkie, miała matowe spojrzenie, dziecko na jej ramionach wyglądało na chore. Sebastian był niespokojny. W kieszeni spodni miał gwizdek imitujący odgłosy ptaków, bardzo gładki kamień, który znalazł rok wcześniej na plaży, i skórki pomarańczy. Podczas kiedy mężczyźni omawiali sprawy, których Sebastian nie rozumiał, kciukiem i palcem wskazującym rozrywał skórki pomarańczy na coraz mniejsze kawałki. Kiedy dorośli skończyli rozmowę, a Sebastian mógł w końcu wstać, ojciec pożegnał się z zakonikiem. Sebastian również chciał podać rękę nieznanemu mężczyźnie, ale ten powiedział: „Nie, nie, ty tu zostajesz”.

Drobne cząstki skórki pomarańczy wypadły z kieszeni Sebastiana, rozsypały się na sofie i pozostawiły na obiciu ciemne plamy. Ojciec przeprosił, ale duchowny tylko się roześmiał. „Nic się nie stało”, powiedział. Sebastian wiedział, że ten obcy mężczyzna kłamał.

Życie w klasztorze od stuleci koncentrowało się na czytaniu i pisaniu. Biblioteka kapitulna mieściła się w wysokiej sali z jasną dębową podłogą, znajdowało się tam ponad tysiąc czterysta rękopisów i ponad dwieście tysięcy książek drukowanych, większość z nich oprawiona w skórę. W jedenastym wieku mnisi założyli szkołę, w której wykładano podstawowe przedmioty, w siedemnastym zbudowano tam jeszcze drukarnię. Uczniowie mieli do dyspozycji drugą bibliotekę, pomieszczenie z ciemnymi drewnianymi stołami i mosiężnymi lampkami. Wśród dzieci krążyły opowieści o tajemnych piwnicach klasztornych, w których przechowywano zakazane książki: rękopisy poświęcone torturom, procesom czarownic i magii. Zakonnicy nie zachęcali do czytania, wiedzieli, że niektóre dzieci same nabiorą ochoty, a inne nie będą interesować się książkami.

Sebastian zaczął czytać w zaciszach klasztoru. Po pewnym czasie przestały przeszkadzać mu obowiązujące w internacie zasady, przywykł do porannych i wieczornych mszy, do lekcji, zajęć sportowych, czasu przeznaczonego na naukę. Rytm dni w klasztorze był wciąż ten sam i pozwalał na spokojne życie pośród książek.

W ciągu pierwszych tygodni tęsknił do domu nad jeziorem. Z wyjątkiem wakacji dzieciom nie wolno było wyjeżdżać, rozmowy telefoniczne musiały być skrupulatnie odnotowane. W co drugą niedzielę Sebastian dzwonił do domu. Stał wtedy w jednej z małych drewnianych kabin w holu wejściowym klasztoru, a furtian łączył rozmowę.

Pewnej niedzieli po drugiej stronie linii była jego matka. Sebastian od razu wiedział, że coś jest nie tak. Powiedziała, że ojciec jest chory, ale to nic groźnego. Kiedy chłopak odłożył słuchawkę, jego kolana drżały. Nagle wydało mu się, że tylko on może uratować ojca. Żeby to zrobić, musi samotnie pokonać wąwóz Via Mala. Sebastian bał się wąwozu, panujących w nim ciemności oraz wąskich ścieżek. Nie wybrał się tam na klasową wycieczkę. Via Mala – „zła droga”; ściany skalne wysokie na trzysta metrów, nieskazitelnie gładkie i zimne, kamienne stopnie i kładki.

Sebastian od razu ruszył w drogę, nie odmeldował się. Pojechał autobusem spod internatu. Dopiero w drodze zauważył, że nie zabrał kurtki, a na nogach ma tylko cienkie półbuty. Miał dwanaście lat, cierpiał na lęk wysokości, ale musiał dać sobie radę. Szedł bardzo powoli. Kiedy przechodził przez kładki, trzymał się środka, nie spoglądał w przepaść. Słyszał płynącą w dole rzekę. Był tak blady, że turyści wielokrotnie pytali go, czy nie potrzebuje pomocy. Udało mu się po trzech godzinach. Pojechał z powrotem do klasztoru. Szukali go, a prefekt oczywiście nie zrozumiał całej sprawy z ojcem. Sebastianowi został wymierzony policzek. Nie przejął się tym, przecież uratował ojca.

Szkoła położona była na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów, zimy wcześniej się tu zaczynały i trwały długo. W internacie ogrzewanie włączano późno, wysokie pomieszczenia nigdy się porządnie nie nagrzewały, a w długich korytarzach ciągnęło chłodem. Sebastiana zawsze cieszyły dni, kiedy spadł pierwszy śnieg. Z piwnic wyciągano sanki, a w weekend dzieci jeździły na nartach. Rano kołdry pokrywała cienka warstwa szronu, z kranów w umywalni zwisały sopelki lodu.

Co roku z początkiem zimy Sebastian chorował, dostawał zapalenia ucha środkowego i gorączkował. W gabinecie lekarza we wsi wisiał duży obrazek ze schematem ucha. Lekarz pokazał Sebastianowi skórę, chrząstki, kości i nerwy. Powiedział, że być może jego skóra jest zbyt cienka. Na jego biurku leżały chromowane, połyskujące narzędzia, były zimne i zadawały ból choremu uchu. Chłopiec myślał o kucharce, która robiła mu przeciwbólowe okłady z cienko pokrojonej cebuli. Kobieta mówiła, że od cebuli się płacze, ale że potrafi uzdrawiać. Kobieta siedziała przy jego łóżku, opowiadała o Tunezji, o przyprawach na targach w medynie, rysiu stepowym, którego uszy przypominają pędzelki, o gorącym saharyjskim wietrze, który nazywała chehili.

W trakcie ponurych miesięcy w internacie, kiedy książki już nie wystarczały, gdy szklarnia, boiska i ławki przykryte były śniegiem, Sebastiana ratowały barwy w jego głowie.

To był pierwszy dzień letnich wakacji. Sebastian prawie nie spał. O czwartej nad ranem pojechali na rewir łowiecki. W nocy padało, łąki były wilgotne, ziemia przyklejała się do kaloszy i sprawiała, że buty stawały się ciężkie. Ojciec niósł przewieszoną przez ramię dubeltówkę. Jej osada ocierała się o filcowy płaszcz, z biegiem lat materiał wytarł się w tym miejscu. Róże i złote linie angielskiego grawerunku stały się prawie niewidoczne, osada była niemal czarna. Filcowy płaszcz pachniał królikiem i tabaką. Sebastian myślał o broni, którą ojciec obiecał mu z okazji egzaminu łowieckiego. Mógłby go zdać po ukończeniu siedemnastu lat, ale do tej pory minie jeszcze dużo czasu.

Chętnie towarzyszył ojcu. Polowanie to poważna sprawa, powtarzał często ojciec, i Sebastian rozumiał, co wówczas miał na myśli. Jedynie na polowaniach z nagonką było inaczej. Na podwórzu domku myśliwskiego podawano wtedy kartoflanę, było gwarno. Często przychodzili nowi ludzie, świeżaki, jak między sobą mówili naganiacze. Mieli nowe płaszcze i nową broń. Prowadzono ich na takie pozycje, z których i tak nie mogli zrobić ze swoich strzelb żadnego użytku. Mówili bez ustanku, nawet kiedy czekali na zwierzynę. Rozmawiali o swojej pracy w mieście, o polityce lub czymkolwiek, Sebastian wiedział, że nie rozumieją sensu polowania. Przed domkiem myśliwskim układano pokot, zwierzęta były martwe i brudne. Sebastian nie chodził już na polowania z nagonką. Kiedy wybierali się sami, ojciec prawie się nie odzywał, las i zwierzyna należały do nich i nic nie było brudne ani fałszywe.

Wdrapali się na ambonę i czekali, aż opadnie poranna mgła. Kiedy na pole wyszedł kozioł, ojciec podał Sebastianowi lornetkę. Był to wspaniały szóstak, wielki, dumny i piękny. Nie spieszmy się, wyszeptał ojciec. Sebastian przytaknął. Był początek sierpnia, okres ochronny zaczynał się dopiero w połowie października. Zastanawiał się, po co ojciec w ogóle miał przy sobie broń, skoro nie chciał jej użyć. Potem uznał, że on również będzie miał broń zawsze przy sobie.

Ojciec wyciągnął papierosa, skóra papierošnicy była poplamiona i stara, tak jak stare było wszystko, co do niego należało. Z ambony spoglądać można było w głąb doliny, z wieżą wiejskiego kościoła w oddali, a w pogod-
ne dni jeszcze z Alpami na horyzoncie. Sebastian pamiętał później każdy
szczegół, dym papierosa, zapach żywicy i mokrej wełny oraz wiatr kołyszący
drzewami.

Na przemian spoglądali przez lornetkę, była tak ciężka, że Sebastian mu-
siał łokciami podierać się o poprzeczną belkę. Długo obserwowali sarny.

Potem ojciec szybko wycelował z broni i strzelił. Zeszli z ambony, Sebastian
pobiegł przez pole. Przednie nogi kozła wyglądały tak, jakby jeszcze się ru-
szał, były złamane i krótkie, oczy otwarte, wybałuszone i mętne, czerwony
język dziwacznie wykręcony. Sebastian znał starą myśliwską gwarę, mówiło
się o ślepiach zamiast o oczach i pysku zamiast o łbie. Ojciec powiedział, że
myśliwi są przesądni i w lesie nie wolno używać normalnych słów, płoszy się
wtedy zwierzynę. Jednak kozioł już nie żył i słowa nie miały znaczenia.

Ojciec nachylił się nad zwierzęciem, rozstawił jego tylne nogi
i przyklęknął na nich. Rozciął brzuch od odbytu aż do gardła. Ze środka
wyłynęły krew i trzewia. Ojciec wyciągnął żołądek, serce, śledzionę oraz
płuca i położył je na trawie.

Sebastian poczuł się tak jak wtedy, kiedy podczas pewnej wyprawy spoj-
rzał na dno wąwozu i nie mógł powstrzymać się od patrzenia w dół. Wbijał
wzrok w przepaść, coraz głębiej, bezwolnie i nie wzbraniając się, aż w końcu
ojciec wyrwał go z tego stanu. Wtedy nastąpiło to cięcie, cięcie nożem ojca.
Równocześnie przyciągało chłopca i odpychało. Nie mógł się ruszyć, widział
biel w ciele sarny, włókna mięśniowe i kości. Ojciec wreszcie skończył i za-
rzucił sobie zwierzę na ramiona. Sebastian niósł plecak, szedł za ojcem do sa-
mochodu. Zapowiadał się upalny dzień, na łąkach zrobiło się parno, światło
stawało się ostre i lepiej było pozostać w cieniu drzew.

Matka Sebastiana siedziała przed domem pod kasztanowcami przy żelaznym
stole i jadła śniadanie, dwa psy drzemały na trawniku. Był czwartek, miała
się wybrać na zawody jeździeckie, Sebastian widział transporter do przewozu
koni. Przed kilkoma laty matka kazała wyremontować stajnię, stały tam jej
dwa konie do ujeżdżania. Sebastian pocałował matkę w oba policzki, potem

pobiegł na górę do swojego pokoju i wyjął z walizki prezent dla niej. W warsztacie mieszczącym się w internacie wykonał figurkę dziadka do orzechów; miał białe zęby, czerwoną brodę i czarny kapelusz z drewnianym piórkiem bazanta. Chłopiec długo nad nim pracował, piórko pomalował na brązowo-zielono. Jednak w tamtym momencie prezent wydał mu się głupi. Patrzył w ziemię, kiedy go dawał. Na rękach miał jeszcze żywicę z ambony, przez jego nieuwagę przykleiła się do dziadka do orzechów. Matka podziękowała. Dwa razy rozchyliła usta figurki. Potem wróciła do czytania informacji o konkursach w „Przeglądzie Jeździeckim”. Na stole leżały formularze zgłoszeniowe na zawody. Sebastian opowiedział, co nowego słysząc w internacie. Czasami, nie podnosząc wzroku znad papierów, matka zadawała pytanie. Niebawem powiedziała, że na nią już pora. Złożyła serwetkę, starannie, tak by rogi przylegały jeden do drugiego. Pocałowała chłopca w czoło. Psy podniosły się i powlokły za nią alejką w stronę stajni.

Sebastian wciąż siedział w cieniu starych kasztanowców. Wakacje jeszcze się nie zaczęły. Może naprawi stojącą w hangarze drewnianą łódkę, trzeba ją odmalować, pomyślał. Chłopiec przypomniał sobie, jak we trójkę pływali łódką po jeziorze, ojciec wiosłował, podczas kiedy on, brodą wsparty o burzę, leżał na brzuchu. Był jeszcze bardzo mały, miał może pięć, sześć lat. Matka miała na sobie jasną lnianą sukienkę i sztywno siedziała na ławeczce pośrodku. Wtedy jeszcze często się śmiała, krzyczała, kiedy łódka się chwiała, a ojciec, wiosłując, chlapał na nią. Sebastian zanurzał dłonie w zimnym jeziorze, widział pstrągi, okonie i sieje, a czasami czuł ciepły zapach perfum matki – róże, jaśmin i pomarańcze na wodzie.

Wszystko to wydawało mu się odległe. Wiedział wtedy, że jego rodzice już się nie lubią. Często przeglądał albumy ślubne w gabinecie ojca. Rodzice wyglądali młodo i zdawali się obcy, matka była nieśmiała i delikatna, niemal dziewczynka, z pogodną buzią i o jasnych oczach.

Kiedy rodzice Sebastiana jeszcze ze sobą rozmawiali, często słyszał, jak matka mówi ojcu, że brak mu ambicji, dyscypliny, nie ma nawet porządnego zawodu. W życiu potrzebne są cele, mówiła, to one są najważniejsze.

Sebastian wyjął rower z garażu, napompował koła i wyruszył z parku. W ostatnim domu na skraju pól mieszkał jego przyjaciel. Babka chłopca

krzyknęła z okna, że jest on z pozostałymi dziećmi niedaleko śluzy. Sebastian zawrócił, dojechał z powrotem do rynku i za apteką skręcił w polną drogę.

Nad wodą jego przyjaciel stał z innymi chłopcami ze wsi. Pomimo że nie widzieli się trzy miesiące, przywitali Sebastiana tak, jakby ten nigdy nie wyjeżdżał. Dzień spędzili na naprawianiu tratwy. Całą zimę przeleżała w bagnie, belki nasiąkły wodą, były ciężkie i śliskie.

Opiekali nabite na patyki niedojrzałe kolby kukurydzy, ziarna wchodziły między zęby, były bez smaku, ale dym odstraszał osy i dobrze było posiedzieć przy ogniu. Łamali trzciny, cięli na kawałki i palili niczym wielkie cygara.

W cieniu olch jezioro było chłodne i ciemne. Sebastian wypłynął daleko, przekręcił się na plecy. Kiedy podniósł głowę, dostrzegł dom stojący po drugiej stronie jeziora, budynek mienił się w słońcu. Widział pomost, pomalowany na niebiesko hangar na łódzie, słyszał wysokie głosy swoich przyjaciół stojących przy brzegu, a kiedy zamknął oczy, wszystko w nim stało się jednym, nieopisanym kolorem.

Wczesnym wieczorem Sebastian wrócił do domu, umył twarz i włożył czyste ubranie. Było za chłodno, żeby jeść na zewnątrz, kucharka nakryła do stołu w sali z pięknym widokiem na park. Od ojca czuć było alkoholem, wyglądał na zmęczonego.

– Nie jestem głodny, Sebastianie, tylko się czegoś napiję.

Schudł, pomyślał Sebastian. Wiedział, że ojciec rzadko bywał w domu, większość czasu spędzał na polowaniach w Austrii. Kiedy wracał, prawie zawsze przesiadywał w swoim gabinecie. Nie rozsuwano tam zasłon, a pod nieobecność ojca nikomu nie wolno było wchodzić do środka. Leżał na kanapie, wpatrywał się w sufit i palił. Mówił coraz mniej, garnitury na nim wisały i zaczynał pić już od rana.

Po jedzeniu poszli na górę, do pokoju z bilardem. Ojciec się zataczał.

– Zagramy? – zapytał Sebastian.

– Nie, jestem za bardzo zmęczony. Zagraj sam, dotrzymam ci towarzystwa.

Sebastian ułożył bile. Ojciec usiadł ze szklanką whisky na parapecie i zapalił cygaro. Co jakiś czas spoglądał na stół, potem swoim staromodnym francuskim mówił *entrée, dedans* i *à cheval*. Sebastian w skupieniu grał ka-

rambola, odbijał kule z kości słoniowej wzdłuż bandy dookoła stołu. Przez długi czas ciszę przerywał tylko dźwięk toczących się po filcu i uderzających o siebie bil.

Kiedy zrobiło się ciemno, chłopak ustawił kij na drewnianym stojaku. Usiadł w fotelu obok ojca. W bibliotece paliło się jeszcze światło, przez rozsuwane drzwi wąska smuga padała na podłogę, drewno przypominało ciemny aksamit.

– To miłe, że tu jesteś – powiedział ojciec. Jego głos był niewyraźny.

– Mam włączyć światło? – spytał Sebastian.

– Nie, proszę nie – odparł ojciec.

Na zewnątrz pokrzykiwał jastrząb. Sebastian zrobił się senny. W półmroku widział profil ojca, wysokie czoło, zapadnięte policzki. Słyszał jego oddech. Wydawało się, że ojciec chce coś powiedzieć, jakby szukał słów. Ale nie powiedział nic.

Sebastian zasnął w fotelu. Kiedy usłyszał tamten dźwięk, po ciemku zbiegł po schodach do głównego holu na parterze, potknął się, rozbił kolano i pobiegł dalej korytarzem do gabinetu. Otworzył z impetem drzwi.

Palila się tylko lampka na biurku, obok niej leżało tekturowe pudełko z amunicją, śrut w jasnoczerwonych łuskach, kaliber 12/70. Sebastian ostrożnie obszedł biurko. Tweedowy garnitur był wytarty na łokciach i kolanach, z kieszeni marynarki wystawała zielona chustka. Lewa noga ojca leżała na przewróconym krześle, but miał zdarty obcas, widać było gwoździe. Ojciec odstrzelił sobie głowę. Dwanaście ołowianych kulek zmasakrowało twarz, sklepienie czaszki zostało oderwane.

Sebastian stał w pokoju, nie mógł się ruszyć. Czuł proch, whisky, która wylała się z przewróconej butelki na kamienne płytki, wodę po goleniu ojca. Widział kurz na książkach, teleskop z mosiądzu, rysy na skórzanych fotelach i srebrną papierośnicę z dużą jadeitową gwiazdą. W końcu zaczęło być tego za wiele, obrazy w głowie chłopca pędziły, nawarstwiały się i układały na nowo, nie potrafił ich już uporządkować. Kolory przypominały ogromne balony.

Z nosa Sebastiana zaczęła lecieć krew, ciepła strużka spłynęła przez usta na język. Zrobił krok do przodu, zabrał papierośnicę i wyłączył lampkę. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, potem wszystko się uspokoilo.

– Mamy jeszcze czas – powiedział ojciec.

Obudził się w swoim łóżku. Nie wiedział, jak się tam znalazł. Miał na sobie piżamę. Z dołu dochodził głos matki. Poczuł suchość w ustach. Wstał i podszedł do okna, było południe. Przed domem stał samochód policyjny, obok niego czarne kombi z przyciemnianymi szybami.

Lekarz rodzinny wszedł do pokoju chłopca. Powiedział, że Sebastian powinien unikać wysiłku, ma wrócić do łóżka i dużo spać. Mężczyzna dał mu tabletkę i szklankę wody, potem zaciągnął zasłony. Na żółto-zielonym starym materiale naszyte były papugi, okazałe ptaki z wielkimi dziobami. Sebastian próbował nie zasnąć, ale ptaki rozmywały się przed jego oczami i znikwały. Śniła mu się dżungla, było tam gorąco i wilgotno, za dużo kolorów, za wiele zapachów.

Później obcych nie było już w domu. Słyszał tylko znajome dźwięki: wodę, która szumiała w pokrytej mchem fontannie przed domem, blaszanego kurka, skrzypiącego przy każdym podmuchu wiatru, kunę na poddaszu. Sebastian trząśł się z zimna, piżama była mokra od potu.

Następnego ranka jego matka siedziała na brzegu łóżka, trzymała go za rękę. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej tak robiła. Powiedziała, że to był tylko zły sen, że miał gorączkę. Przekręciła pierścionek na palcu. Sebastian spojrzał na jej usta, na wargi, które były blade i wysuszone. Powiedziała, że ojciec miał wypadek, że padł strzał, kiedy czyścił broń. Jej usta wciąż się poruszały, Sebastian już jej nie słyszał. Zdawało mu się, jakby między nim a kobietą postawiono ścianę. Przypominała chropowaty papier czerpany, który ojciec zawsze kupował w starym młynie kilka wsi dalej. Pewnego razu Sebastian pojechał tam razem z nim i przyglądał się, jak robiono ten papier. Mężczyzna trzymał sito i czerpał z kadzi pojedyncze arkusze, woda kapiała na filcowe podkładki i wsiąkała. Mężczyzna w niebieskim fartuchu powiedział, że papier wytwarza się z bawełnianych szmat, zużytych w szpitalu.

Sebastian chciał powiedzieć matce, że ojciec nigdy nie czyścił strzelb w swoim pokoju i że nie ma nikogo, kto obchodziłby się z bronią ostrożnie. Chciał jej wyjaśnić, że widział na stole śrut oraz krew na ścianie i że ojcu urwało głowę. Widział to wszystko i rozumiał, a jej historia jest nieprawdziwa. Chciał opowiedzieć jej o polowaniu, łąkach, ziemi i widoku porośniętych paprociami pagórków wczesnym rankiem. Jednak wszystkie te zdarzenia, myśli, kolory i zapachy tkwiły obok siebie, zawieszony w próżni, surowe i na wpół świadome, nie potrafił ich ze sobą połączyć.

Wtedy jego matka wstała i wyszła z pokoju.

Na pogrzeb przyjechali krewni, Sebastian ich nie znał, niektórzy z nich głaskali go po głowie i pytali, czy ich jeszcze pamięta. Starsza kobieta z fioletową opaską na głowie przytuliła go, jej sukienka pachniała środkiem na mole.

Przyszła cała wieś. Podczas kiedy ksiądz przemawiał nad grobem, Sebastian stanął obok swojego przyjaciela, który też musiał włożyć ciemny garnitur. Chłopiec wyszeptał, że tratwa jest już gotowa, można znów na niej pływać, jest nawet większa niż ta sprzed roku i dużo lepsza. Chciał wiedzieć, kiedy Sebastian wróci, mieli czekać tylko na niego.

Po południu krewni siedzieli w ogrodzie. Kucharka upiekła ciasto piaskowe, śmietana warzyła się na słońcu. Goście byli początkowo poważni i skupieni, po krótkim czasie zaczęły się głośnie rozmowy.

Matka Sebastiana zastukała widelcem w kieliszek. Goście ucichli, wszyscy odwrócili się w jej stronę. Podziękowała, że tak wiele osób przyszło na pogrzeb, poczuła się lepiej. Powiedziała, że prosi o zrozumienie, ale sprzedaje dom. Jej głos nie zadrżał. Potem usiadła.

Cisza panowała, dopóki nie wstał brat ojca. Zachwiał się, wsparł rękami, obrus zsunął się, patera z ciastem roztrzaskała się o kamienną posadzkę. Był pijany.

– Mój brat i ja urodziliśmy się w tym domu. Kocham ten dom, to jezioro, ten park i ich nienawidzę. Wszystko to kocham i nienawidzę – powiedział, wykonując ruch ręką. Bełkotał. – Ona ma rację. Ja i mój brat wierzyliśmy, że możemy zbudować świat od nowa. Ale niczego nie da się zacząć od nowa, absolutnie niczego, wszystko już jest. Nie mógł zostać tym, kim chciał, ja też nie. Muszę, wiecie, muszę... – Jego żona pociągnęła go za rękaw. – Tak, tak – powiedział – daj mi skończyć. – Opadł na wiklinowe krzesło. Wziął do ręki kieliszek. – Piję za koniec – powiedział i cicho dodał: – Bogu dzięki, mój biedny brat ma to za sobą.

Sebastian siedział na parapecie i słuchał wuja. Nie rozumiał go. Wuj potrafił wycinać postacie z papieru i odgrywał nimi przedstawienia. Ożenił się z Hinduską, była poważna i obca. Od prawie dwudziestu lat żył w Delhi. Pewnego razu wszyscy byli na wyspie Norderney. Wuj bardzo wcześnie rano wypłynął z Sebastianem na rybackiej łodzi. Pił gin. Sebastian pamiętał, jak stał na środku łodzi z żółtą butelką w ręce. Mężczyzna zawołał Sebastiana do siebie, przytulił go i krzyknął: – Morze jest tak straszliwie głupie! – Potem upadł. Na koniec rybacy sprowadzali go z łodzi.

Sebastian obudził się w nocy po pogrzebie. W piżamie poszedł nad jezioro, usiadł na drewnianym pomoście. Pomyślał, że w tajemnicy zostanie w domu. Na końcu prawego skrzydła znajdował się mały pokój, do którego można było dostać się tylko przez szafę wnękową, idealne rozwiązanie. Nawet kucharka nie знаła tego miejsca. Mógłby się tam schować, przyjaciel przynosiłby mu jedzenie, a kiedy będzie dorosły, odbierze ten dom.

Ojciec powiedział, że ten dom zawsze będzie tu stał, mieszkali tu jego rodzice, dziadkowie oraz wszyscy przodkowie i Sebastian, jego dzieci i wnuki też będą tu mieszkać. Bez domu człowiek jest stracony, mówił, nawet jeśli tak stary budynek bywa prawdziwym ciężarem.

Sebastian myślał o tych słowach oraz o swoim planie, w końcu zasnął na pomoście.

Dwa tygodnie po pogrzebie matka zaczęła porządki. Powiedziała, że musi *zlikwidować* wyposażenie domu.

Jako pierwszy pojawił się handlarz starociami z Monachium, miał cienkie włosy i wiszące na łańcuszku okulary do czytania w niebiesko-czerwonych oprawkach. Chodził z matką po pomieszczeniach, co jakiś czas przystawał i na coś wskazywał. W końcu kupił srebrne sztuce, cztery miniatury z osiemnastego wieku, trzy obrazy olejne w zniszczonych ramach, broń i kły słoni. Zleci odebranie wszystkich rzeczy, tak powiedział, wypisując czek.

Ekipa likwidująca mieszkania postawiła kontener przed okazałymi schodami zewnętrznymi. Przez tydzień mężczyźni wywlekli z domu prawie wszystko, kontener opróżniano dwa razy dziennie. Już w południe czuć było od nich potem, mieli na sobie tylko podkoszulki. Z czasem zaczęli się zachowywać swobodniej, nie zanosili rzeczy od razu do kontenera. Wkładali afrykańskie maski, wrzeszczeli i rzucali oszczepami w drzewa w parku.

Sebastian nie rozumiał postępowania matki. Nazwała to *usuwaniem odpadów*. Do kontenera trafiły slajdy ojca, filmy super 8 mm, nawet jego notatniki. W stojącym w ogrodzie zbiorniku na deszczówkę spaliła zdjęcia i listy. Wciąż wtedy powtarzała, że musi *posprzątać*, skończyć z tym, zamknąć to. Słyszał, jak matka chodzi po domu, wołała go, ale nie odpowiadał.

Sebastian codziennie siedział na schodach w cieniu domu i czekał na chłód, który przyniesie wieczór. W ścianach małych zewnętrznych schodów wmurowane były płaskorzeźby z piaskowca: borsuki, wydry i bobry. Ojciec mówił, że gdy wychodzisz, potrzyj o nos wydry, wtedy zawsze wrócisz do domu.

Krótko przed końcem wakacji przyjechał agent nieruchomości. Na jego samochodzie znajdował się napis: ŁĄCZYMY PRAGNIENIA WYMAGAJĄCYCH LUDZI Z CAŁEGO ŚWIATA. Pośrednik stanął przed domem, zwinął ręce w kształt lunety i powiedział: „Cóż, mocno zaniedbany, ale loka-

lizacja świetna. Może uda nam się go sprzedać”. Zrobił dużo zdjęć. Matka siedziała z nim później przy stole pod kasztanowcami. Sebastian słyszał, jak mówiła: „Och, tylko tyle?”, i przez moment wydawało mu się, że może jednak zatrzymają ten dom.

Dzień później Sebastian pierwszy raz od pogrzebu pojechał rowerem do kościoła. Przy bramie cmentarnej zsiadł z roweru i poprowadził go żwirową ścieżką. Widział kamienne nagrobki swoich przodków, z każdego odczytywał swoje nazwisko. Przystanął przed grobem ojca. Ktoś posadził kwiaty, stała tam jeszcze obok blaszana konewka. Uklęknął i rękami wykopał dziurę. Na wierzchu ziemia była nagrzana od słońca, ale kiedy kopał głębiej, stawała się zimna i mokra. Wcześniej młotkiem utracił z rzeźby nos wydry. Włożył go do ziemi.

– Byłoby lepiej, gdybyś teraz wrócił – powiedział – sam sobie nie poradzę.

Pod koniec wakacji matka zawiozła go do Monachium. Przeklinała samochód, mówiła, że jest za stary. Kupi nowy, jak tylko dom zostanie sprzedany, tak powiedziała. Zaparkowała na placu przed dworcem. Powiedziała, że jej przykro, nie może odprowadzić Sebastiana na peron, bo spóźni się na zawody. Wysiadł, przez otwarte okno pocałował matkę i zabrał walizkę z tylnego siedzenia. Nie może pomachać, za wymówkę ma tym razem ruch uliczny, tak pomyślał, kiedy za nią spoglądał.

Wsiadł do pociągu, zajął swoje miejsce i spojrzął przez okno. Ręką wymacał w kieszeni spodni papierośnicę ojca, kciukiem pocierał o jadeit. Pomyślał o ścianie za biurkiem, została już odmalowana. Kiedy pociąg odjechał z dworca, Sebastian odłożył papierośnicę na znajdujący się przed nim składany stolik. Kamień błyszczał w słońcu, jego kolor był stonowany i czysty. Ojciec nazwał go kiedyś cesarskim jadeitem. Papierośnica pochodziła z lat dwudziestych, na wewnętrznej stronie wygrawerowane były japońskie znaki. Sebastian trzymał papierośnicę na wysokości oczu. Co pewien czas na kamień padał cień drzewa lub słupa wysokiego napięcia i zmieniał jego kolor.

Stały mu przed oczami dom, ciemna zieleń dzieciństwa, pogodne dni. Kolory miały zapach kurzu, który wszystko przykrywał, pachniały świeżo skoszoną popołudniem trawą, jak tymianek po deszczu i jak sitowie między

deskami pomostu. Myślał o jedwabnych sukienkach matki, które nosiła kiedyś, o jej skórze w słońcu i obrazie z morzem skutym lodem w pokoju ojca. Już nie wiedział, co było prawdziwe, nie wiedział też, kim będzie.

Kolejne lata w internacie Sebastian przesiedział w bibliotece, pogrążony w lekturach. Był w Indiach, Sierra Nevada albo dżungli, jechał psim zaprzęgiem, latał na smokach, łowił walenie, był żeglarzem, poszukiwaczem przygód i podróżnikiem w czasie. Nie odróżniał fikcji od rzeczywistości.

Bibliotekarz jako pierwszy zwrócił na to uwagę. Widział, jak Sebastian podekscytowany kilka razy z kimś rozmawiał, mimo że w czytelnicy był sam. Mężczyźnie wydało się to dziwne i poinformował o tym kierownictwo internatu. Prefekci i nauczyciele przeprowadzili dyskusję, skontaktowano się z matką Sebastiana telefonicznie i w końcu postanowiono sprawą się zająć.

Ojciec przełożony pojechał z Sebastianem do stolicy. Powiedział chłopcu, że pójdą do znanego lekarza, profesora uniwersyteckiego.

Lekarz był tęgi, bardzo stary i czuć było od niego grochówką. Jednak nie wyglądał na lekarza, a jego gabinet nie był typowy. Na ścianach wisały afrykańskie maski, na biurku leżał wykonany z kości naszyjnik. Sebastian pięć razy z duchownym poszedł do otyłego lekarza w mieście. To były miłe wycieczki, po każdej z nich zakonnik szedł z Sebastianem do kawiarni i chłopiec mógł wybrać sobie ciastko.

Podczas ostatniej wizyty gruby mężczyzna powiedział, że Sebastian nie musi więcej przychodzić. Omówił z duchownym coś, co Sebastian chciał zapamiętać, ale mężczyźni używali słów, których chłopiec nie znał. Tęgi mężczyzna mówił o *wizualnych halucynacjach* i wielu innych niezrozumiałych rzeczach.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Sebastian zapytał zakonnika, co ten opasły lekarz powiedział, przyznał, że trochę się boi, że jest chory. Mężczyzna uspokoił go, że to nic złego. Sebastian wyobraża sobie ludzi i rzeczy, których nie ma. Dzieci tak czasami mają, granica między rzeczywistością a tym, co dzieje się w ich głowie, nie jest jeszcze wyraźna. Z czasem się to *zrośnie*. Zakonnik wyglądał na smutnego, kiedy to mówił. Potem jak zwykle poszli do kawiarni. Sebastian zamówił babkę marmurkową, a duchowny piwo.

Chłopcu nie podobało się, że coś ma się w nim *zrosnąć*. Kucharka miała krzywy palec, powiedziała, że po prostu źle się *zrosł*. Sebastian nie chciał

żadnych krzywych i paskudnych rzeczy w swojej głowie. W drodze powrotnej długo o tym myślał. Postanowił, że nic się nie stanie, jeśli dalej będzie rozmawiał z Odyseuszem, Herkulesem i Tomkiem Sawyerem. Tylko nie wolno mu było o tym nikomu powiedzieć, będzie musiał uważać.

Kiedy matka Sebastiana sprzedała dom nad jeziorem, wzięła w dzierżawę nowoczesną stadninę w pobliżu Fryburga. Mieszkała tam w domu jednorodzinnym o cienkich ścianach, z podwójnym garażem.

W stajni znajdowało się dwanaście boksów, był także maneż i czworobok. Masztalerz co dzień sprzątał stajnię, siodlarnię i dziedziniec. Matka krzyzczała, jeśli zauważyła gdzieś pajęczyny.

Wstawała co rano o szóstej, do popołudnia jeździła na każdym z dwunastu koni. W weekendy od wiosny do jesieni była na zawodach, raz została nawet wicemistrzynią Niemiec w ujeżdżaniu. Żyła z tego, co przyniosła sprzedaż domu nad jeziorem i lasu.

Czas płynął od ferii do ferii, a Sebastian dostrzegał, jak matka się zmienia. Jej broda i nos stały się bardziej spiczaste, usta węższe, żyły na przedramionach uwydatniły się.

Kiedy Sebastian przyjeżdżał w odwiedziny, mieszkał w małym pokoju na poddaszu, latem było tam duszno, zimą ciemno. Podczas jego nieobecności matka wykorzystywała to pomieszczenie jako biuro. Jego rzeczy leżały na strychu, spakowane w dwie skrzynki.

Podczas ferii jeździł z matką na zawody. Na placach do konnej jazdy było błoto, w śladach kół samochodów do przewozu koni stała woda, w namiotach unosił się swąd cebuli i przypalonego tłuszczu. Latem końskie łajno wysychało na słońcu na padokach, ludzie męczyli się w upale, w powietrzu czuć było ostry zapach końskiego potu. Mężczyźni siedzieli na składanych krzesłach przy szrankach czworoboku i przyglądali się amazonkom, swoim żonom i córkom. Posługiwali się własnym językiem, mówili, że koń musi być „zebrany”, rozmawiali o trawersach, o lotnej zmianie nogi i wyciągniętym kłusie. Sebastian zauważył, że kobiety jeżdżące konno były uzależnione od swoich wierzchowców.

Matka rzadko z nim rozmawiała, wciąż była zmęczona jazdą konną. Powiedziała, że nie może już znieść swojego ciała, bólu kolan, pleców i rąk. Lekarz ostrzegł ją, że od ciągłego wysiłku jej nerwy szyjne są nadwężone. Dalsze treningi stanowią niebezpieczeństwo, za wiele ryzykuje. Wytrzymała

tylko tydzień, potem znów wsiadła na konia. Musi jeździć, powiedziała, nie potrafi inaczej.

Kiedy Sebastian był w wieku szesnastu lat, matka przedstawiła mu swojego nowego przyjaciela. Mężczyzna miał około czterdziestu pięciu lat – krótkie siwe włosy, gęste brwi, zadbane paznokcie – i był od niej niższy o pół głowy. Odebrali Sebastiana z dworca, kiedy chłopak przyjechał z internatu.

Mężczyzna powiedział, że pójda coś zjeść. Zawiózł ich do podobno najlepszej restauracji, jego szef też w niej jadał. W karcie napisane było: „dawna masarnia przemieniona w stylową francuską kawiarnię z przełomu wieków” – knajpa miała od tej pory być „autentyczną częścią Francji w sercu Fryburga”. Stoły stały jeden przy drugim, w pomieszczeniu znajdowało się zbyt wiele osób, krzesła były niewygodne. Panował gwar. Nowy mężczyzna ryknął, że jedzenie jest tu wyśmienite, z kelnerem był po imieniu.

Ten nowy mężczyzna spojrział na zegarek i zamówił jedzenie dla wszystkich. Oznajmił, że wie, co dobrego tu podają. Kiedy czekali na dania, powiedział, że jest przedstawicielem producenta płyt gipsowo-kartonowych, ponoć to *wielki interes*. Raz ukazał się o nim artykuł w lokalnym brukowcu, miał wtedy załatwić, żeby szwedzki dealer samochodów otworzył w mieście swoją siedzibę. Dostawca wprawdzie później zmienił zdanie, ale w artykule nazwano go „macherem”. Coś takiego ciąży na człowieku, oświadczył. Uniósł brwi i powiedział te słowa tak, jakby żartował, ale Sebastian zrozumiał, że mężczyzna był dumny. Matka milczała, wyglądało na to, że zna tę historię.

– Wszystko ma swoją cenę – powiedział macher. – Ale jeśli ruszysz tyłek i się postarasz, to nieważne, skąd pochodzisz.

Macher położył rękę na udzie matki i gapił się na jej dekolt. Kelner przyniósł butelkę Clos de Beaujeu, mimo że nikt go nie zamawiał. Macher powiedział Sebastianowi, żeby się napił, „dla uczczenia dnia”. Chłopak zapytał, czy może dostać szklankę wody.

Wtedy mężczyzna ryknął do siedzącego po drugiej stronie stołu Sebastiana:

– Kim ty chcesz zostać?!

Sebastian wzruszył ramionami. Macher bawił się solniczką. Mimo że nie był tęgi, palce miał grube. Na ręce nosił złoty zegarek ze złotym paskiem, na

szkiełku znajdowała się lupa do odczytywania daty. W kącikach jego ust zaschła ślina. Sebastian wyobraził sobie wargi machera przy wargach matki.

– Nie masz żadnego planu? Chodzisz do tak drogiej szkoły i nie masz żadnego planu? – spytał mężczyzna.

Sebastian nie odpowiedział.

– Co tam masz? – zapytał. Sięgnął do przewieszzonego przez krzesło płaszcza Sebastiana i wyciągnął z kieszeni książkę, którą chłopak czytał w pociągu.

– *Niespodziane światło* – mężczyzna powoli odczytał na głos. – Co to niby znaczy? – Roześmiał się głośno, trzymał książkę wysoko.

– To są wiersze – powiedział Sebastian. Wyrwał macherowi książkę, przewracając kieliszek. Wino wylało się na spodnie mężczyzny, obrus nasiąkł. Sebastian przeprosił, powiedział, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza.

Chłopak wyszedł na zewnątrz. Na przystanku bezdomny grzebał w śmietniku. Obok bezgłośnie przejechał długi, błyszczący samochód. Powietrze na ulicy stało, czuć było zapach asfaltu i benzyny. Obok przeszła kobieta, krzyczała do telefonu, że jej znajoma przez długi czas była singielką. Sebastian bardzo szybko wypalił dwa papierosy, jeden za drugim. W internacie nad jego biurkiem wisiało zdjęcie zielonego domku rybackiego w Walii, w którym Dylan Thomas pisał wiersze. O tym myślał w tamtej chwili.

Kiedy wrócił do środka, „własnego wyrobu frykadela z wołowiny Gallo-way”, którą zamówił dla niego macher, była zimna.

Mężczyzna za szybko prowadził w drodze do domu, Sebastian czuł ucisk pasów na szyi. Macher i matka od razu poszli spać. Sebastian przez jakiś czas czytał tomik wierszy. Potem wstał i poszedł do ogrodu, żeby zapalić, matka zabraniała tego w domu.

W sypialni paliło się światło. Przed łóżkiem stał nagi macher, matka spała. Mężczyzna trzymał w ręce kamerę, czerwona dioda sygnalizująca nagrywanie migiała. Drugą ręką się masturbował. Sebastian zobaczył swoje odbicie w wielkim panoramicznym oknie.

Poszedł na górę do pokoju na poddaszu i usiadł przy biurku z tworzywa sztucznego, stojącym pod oknem. Chciał napisać list, ale nie wiedział do kogo. Wpatrywał się w zaostrzony grafit ołówek. Potem wyciągnął z walizki

syczoryk w drewnianej oprawie, który zawsze zabierał na wędrówki. Przeciął opuszek lewego palca wskazującego. Przyglądał się, jak płynie z niego krew i kapie na biurko. Przez chwilę czuł, że żyje. Potem poszedł do łazienki i opatrzył ranę.

Niecały rok później matka Sebastiana i macher pobrali się. Przyjęcie odbyło się w mieszczącym się w pałacu hotelu, który macher znał z „konferencji dla przedstawicieli”. Para młoda pojechała do urzędu stanu cywilnego dorożką, matka miała na sobie białą sukienkę. Przed hotelem ustawiono namiot, muzykę grał didżej, miał organy Hammonda. Wolno było tańczyć tylko na zewnątrz, dyrektor hotelu powiedział, że parkiet w pałacu jest zbyt delikatny.

Przed weselem macher wziął lekcje, gdyż nie umiał tańczyć. Mimo to podczas pierwszego tańca potknął się i z hukiem upadł na deski. Muzyka na krótko ucichła, jakaś kobieta zakryła ręką usta. Kiedy macher wstał, jego spodnie były w kurzu. Goście wiwatowali, ktoś podpity krzyknął, że to dobra wróżba dla małżeństwa, i wszyscy się roześmiali.

Sebastian wyszedł z namiotu. Potem usłyszał swoją matkę. Wzięła machera pod rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Kłócili się, facet gwałtownie potrząsnął głową i wyrwał się.

Mężczyzna poszedł na górę, do rozświetlonego pałacu, utykał. Przed wejściem na kamiennych schodach spał kot, poruszał łapkami we śnie. Macher rozejrzał się. Potem czubkiem lakierowanego buta kopnął zwierzę w brzuch.

Dwa lata później Sebastian zdawał maturę. Zakonnik stał za ołtarzem w kolegiacie. Życzył uczniom powodzenia. To było długie kazanie, wygłaszał je co roku. Powiedział, że od teraz abiturienti, zdani na siebie, muszą popełniać własne błędy, tamtego dnia miało zacząć się ich życie. Życzy sobie, dodał, żeby pozostawili świat lepszym, niż go zastają. Po kazaniu uczniowie zagrali dwie części kwintetu fortepianowego *Pstrąg*.

Matka Sebastiana nie mogła przyjechać, *to te nerwy*, powiedziała.

Po mszy Sebastian poszedł do swojego pokoju. W tygodniu poprzedzającym uroczyste zakończenie roku duże firmy ustawiły w korytarzach internatu swoje stoiska. Chłopak dostał oferty prestiżowych staży i płatnych praktyk odbywanych na przemian ze studiami, producent środków do prania chciał sfinansować jego naukę. Sebastian usiadł przy biurku. Widział stamtąd przełęcz Lukmanier, rozmyślał o swoich wyprawach w Rheinwaldzie i o migoczącym świetle w lasach kasztanowych w Val San Giacomo. W internacie spędził prawie dziewięć lat. Zbierał wtykane mu wizytówki i wrzucał je do kosza.

Pojechał pociągiem do Fryburga, tam wsiadł w autobus, a potem niósł walizkę prawie kilometr do domu. Zadzwoił do drzwi, nowy pies matki szczekał. Zapaliło się światło, słyszał, jak macher krzyczy na zwierzaka. Drzwi otworzyła matka, na szyi miała kołnierz ortopedyczny. Powiedziała, że spodziewali się go nazajutrz, musiała coś źle zapisać w kalendarzu. Potem poszła z powrotem do sypialni, wyjaśniła, że słabo się czuje.

Sebastian zrobił sobie w kuchni kanapkę. Macher usiadł z chłopakiem przy stole.

– Co chcesz teraz robić? – zapytał. – Coś musisz robić. Co więc zamierzasz? Jak długo tu zostaniesz?

– Jutro wam opowiem – odpowiedział Sebastian.

– Nie, chcę wiedzieć teraz, i tak już mnie obudziłeś. – Macher miał zapuchnięte oczy.

– To był długi dzień, jest naprawdę późno – odparł spokojnie Sebastian.

Wiedział, co nastąpi.

Macher zerwał się z miejsca. Obszedł stół i stanął przy krześle Sebastiana. Tętnica na szyi mężczyzny pulsowała. Po raz ostatni uderzył go rok wcześniej. Sebastian chciał wtedy odwiedzić we Włoszech koleżankę z internatu, ale macher mu zabronił. Chłopak z wściekłości wrzucił do studzienki ściekowej kluczyki do jego auta. Mężczyzna spoliczkował go na ulicy. Wrzeszczał, że musi nauczyć się dyscypliny, że już on go ustawi do pionu. Przechodnie odwracali się w ich stronę, matka Sebastiana stała obok i nie powiedziała ani słowa.

Sebastian odłożył kanapkę na talerz. Powoli wstał z krzesła. Był o półtorej głowy wyższy od machera. W internacie od trzech lat codziennie przez godzinę trenował boks, grał także w hokeja na lodzie i chodził po górach. Jego ciało było smukłe i mocne. Nawet na noc nie zdejmuje tego zegarka, pomyślał Sebastian.

Macher patrzył na Sebastiana, zdawało się, że nie wie, co ma zrobić. Po tem odpuścił. Opadł na krzesło, stracił kontrolę nad mimiką, gapił się bezmyślnie.

Sebastian zauważył, że włosy mężczyzny zrobiły się rzadkie. Wziął talerz, podszedł do drzwi i wychodząc, zgasił światło.

Na drugi dzień wstał wcześniej i pojechał do miasta. Kupił kilka książek, poszedł na wystawę i usiadł w kawiarni. Czekał. Kiedy wczesnym popołudniem wrócił do domu, jego matka odpoczywała na leżaku. Trawa była świeżo skoszona, kobieta co roku nawozila ją saletrą. Na twarzy matka Sebastiana miała okulary przeciwsłoneczne, a na szyi nadal kołnierz ortopedyczny, jego brzeg zrobił się brązowy od pudru. Przewiązała szlafrok i zdjęła okulary.

Spojrzał na nią, a ona popatrzyła na niego.

Miała bosc stopy, palce u nóg były zdeformowane od butów jeździeckich. Materiał leżaka był żółty, a jej nogi białe i całe w żyłach. Dotarło do niego, że nie było już nic do powiedzenia, minęło za dużo czasu, nie ma już domu nad jeziorem ani pogodnych dni. On zacznie własne życie, ona dalej będzie wiodła swoje. Tak zdecydowali, głupio byłoby teraz rozmyślać, kto zawinił.

Skinął w jej stronę, to było wszystko, co zrobił. Potem zamknął drzwi na taras, ostrożnie, nie chciał hałasować. Poszedł do pokoju na poddaszu. Panował tam zaduch, chłopak otworzył okno. Wiatr od pól przyniósł zapach hia-

cyntów i irysów. Sebastian rozebrał się i położył na łóżku. Bolały go mięśnie. Słyszał, jak matka chodziła po podwórzu tam i z powrotem.

Fotograf miło przywitał się z Sebastianem Eschburgiem. Poznali się podczas któregoś ze spotkań absolwentów. Fotograf zdał maturę w tej samej szkole trzydzieści lat wcześniej. Studiował na Akademii Sztuki w Düsseldorfie, w latach osiemdziesiątych publikował albumy, z wielkimi czarno-białymi zdjęciami kopalni węgla, wież ciśnień, taśmociągów i zbiorników gazu. Większości tych obiektów już nie ma. Dzięki tym pracom fotograf zyskał sławę. Eschburgowi podobały się te industrialne zdjęcia bez ludzi, surowe fotografie z szarobiałym niebem.

Mężczyzna wydawał czasopismo o fotografii architektury, był członkiem wielu gremiów i przewodniczył jury podczas konkursów. Pisał książki o robieniu zdjęć, miał niebywałą wiedzę techniczną i regularnie recenzował wystawy fotograficzne na łamach największych niemieckich gazet. Żył z sesji zleconych przez architektów i czasopisma, fotografował budynki mieszkalne i biurowce. Jego zdjęcia były perfekcyjne, lecz nigdy nie zrobił międzynarodowej kariery. Mówił, że to dla niego bez znaczenia, ale później Eschburg przekonał się, że mężczyzna cierpiał z tego powodu.

Fotograf prowadził też cztery małe studia w Berlinie, nie były firmowane jego nazwiskiem, nie pracował w nich. Mówił, że to „główne źródło utrzymania”. Zakłady te wykonywały zdjęcia do paszportów i portrety, sesje ślubne, reportaże z imprez firmowych czy urodzin oraz zdjęcia klasowe.

Fotograf zaproponował Eschburgowi, by ten dla niego pracował. Eschburg wynajął nieduży umeblowany pokój w Charlottenburgu. Początkowo fotograf wypłacał mu jedynie niską pensję, wystarczającą na życie. W pierwszych miesiącach Eschburg czytał książki fotografa i wiele innych o robieniu zdjęć, które udało mu się dostać. Pilnie uczył się o obiektywach, ekspozycji, przesłonach, filtrach, o czasie naświetlania w aparatach analogowych i cyfrowych, o wielkich, średnich i małych formatach. W ciemni wywoływał zdjęcia, robił notatki o odczynnikach zasadowych i kwasowych, eksperymentował z octem i kwasem cytrynowym, roztworem sodu i tiosiarczanem amonu. Fotograf był dobrym nauczycielem. Rozmawiali o historii fotografii, cho-

dzili na wystawy i do galerii, a Eschburg chętnie u niego pracował, mimo że mężczyzna był kapryśny i niesprawiedliwy.

Fotografowanie było dla Eschburga czymś więcej niż rzemiosłem. Używał wyłącznie czarno-białych błon, później wywoływał fotografie tiomocznikiem i wodorotlenkiem sodu. Eksperymentował do czasu, aż jego zdjęcia nabrały miękkiej, ciepłej barwy, która uspokajała inne kolory w jego głowie. Fotograf mówił, że Eschburg musi stać się rewolucyjny, sztuka ma prowokować i niszczyć, to droga do prawdy. Jednak Eschburg nie chciał być artystą. Za pomocą fotografii pragnął stworzyć inny świat, ulotny, miniony i ciepły. Po kilku miesiącach przedmioty, ludzie i krajobrazy na jego zdjęciach miały znośną dla niego postać.

Eschburg często pracował w „głównych źródłach utrzymania”, od zatrudnionych tam ludzi chciał nauczyć się pracy w studiu. Sześć miesięcy po tym, jak Eschburg zaczął pracować u fotografa, do jednego z zakładów przyszła właścicielka perfumerii. Chciała zrobić sobie akty. Miała czterdzieści sześć lat, kilka miesięcy wcześniej rozstała się z mężem, zdjęcia miały być dla jej nowego przyjaciela. Mówiąc to, zaczerwieniła się.

Eschburg pomagał przy ustawianiu ujęć. Zastosowano standardowe chwyt: tiulowa woalka zakrywająca rozstępy po ciąży, przygaszone światło, żeby nie było widać zmarszczek, filtr zmiękczający do ujęć pupy, ud i brzucha, kawałki przezroczystej taśmy klejącej, którymi podnosi się biust.

Kiedy fotografie zostały wykonane, Eschburg zapytał kobietę, czy sam mógłby zrobić jej kilka zdjęć. Zgodziła się. Wziął aparat marki Hasselblad, który za śmieszoną kwotę kupił z drugiej ręki. Lubił ten sprzęt, fotograf nie widzi modela bezpośrednio, patrzy z góry na matówkę, model nie widzi jego spojrzenia. Eschburg włożył film do aparatu, rozsunał zasłony w atelier i wyłączył lampy. Poprosił kobietę, żeby zmyła makijaż. Cały dzień padało, światło było tego popołudnia łagodne, jasnoszare.

Rozmawiał z kobietą, przyznał, że nie ma jeszcze doświadczenia i nie czuje się zbyt pewnie. Rozluźniła się. Po godzinie była gotowa do sesji, Eschburg szybko zrobił dwanaście zdjęć, bez użycia statywu.

Zdjęcia przedstawiały kobietę siedzącą na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Na podłodze leżały płachty, kobieta przez okno

spoglądała na zewnątrz. Pozioma smuga światła padała na prześcieradło i twarz. Ciało było blade, jedynie czoło nieco jaśniejsze – czterdziesto-sześćoletnia kobieta ze zranioną dumą.

Dwa dni później przyszła odebrać zdjęcia dla swojego przyjaciela, szybko schowała je do torby. Eschburg pokazał jej także te zrobione przez siebie, powiedział, że nie musi za nie płacić. Obejrzała fotografie, wszystkie po kolei, potem odwróciła je, podarła i położyła na ladę. Stała naprzeciw Eschburga, otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

Przez lata fotograf zmienił się, stał się mniej skoncentrowany, za dużo jadł i coraz bardziej tył. Kiedy zapominał o terminach oddania prac, wydzierał się na pracowników i trząsał drzwiami. Następnego dnia było mu przykro i gdy był w takim nastroju, mówił, że życie przepłynęło mu między palcami. Miał trzy córki, których w ogóle nie obchodziła jego praca. Z żoną był dla wygody i ze strachu przed samotnością. Eschburgowi czasami wydawało się, że fotograf traktuje go jak syna, którego nigdy nie miał.

Eschburgowi prawie zawsze udawało się dotrzymać terminów fotografa, całymi nocami pracował i zdjęcia oddawał na czas. Mężczyzna wściekł się, kiedy po czterech latach chłopak powiedział, że musi odejść i spróbować czegoś nowego. To dzięki niemu jest tym, kim jest, powiedział Eschburgowi, nauczył go wszystkiego, bez niego byłby nikim. Mówiąc to, fotograf miał czerwoną twarz, a jego usta zrobiły się bardzo wąskie.

Tamtego popołudnia Eschburg wcześniej wrócił do umeblowanego pokoju, w którym wciąż mieszkał. Usiadł przy oknie i przyglądał się przechodniom na ulicy. Myślał o znanych zdjęciach fotografa, o prawdzie, która w nich była. Zdjęcia pozostaną, nawet kiedy mężczyzny już nie będzie. Nie zmarnował swojego życia. Jako młody człowiek był bardzo dobry, a i będąc starszym, nadal był lepszy niż większość fotografów.

Eschburg napisał do mężczyzny długi list, wiele godzin siedział przy biurku, ale w końcu podarł go i wyrzucił.

Eschburg kupił dwupiętrowy budynek pofabryczny obok domu mieszkalnego przy Linienstraße w berlińskiej dzielnicy Mitte. Wcześniej produkowano tam parasole, od zjednoczenia budynek stał pusty. Okna były wysokie, mury z czerwonych i żółtych cegieł, wynajęcie nie kosztowało dużo.

Studio urządził w dolnej kondygnacji, połowę górnego piętra przeznaczył dla siebie. Kiedy wnosił na górę kartony z książkami, po raz pierwszy spotkał sąsiadkę z mieszkania naprzeciw, przywitali się, stojąc na dwóch końcach korytarza.

Eschburg obdzwonił wszystkich redaktorów i architektów, których znał, powiedział, że pracuje już na własny rachunek. Stopniowo dostawał zlecenia na zdjęcia do katalogów ofertowych, krótkie reportaże o nowych budynkach, co jakiś czas sesje dla któregoś z miejskich muzeów.

Pracując u fotografa, prawie nie wydawał pieniędzy, miał niewielkie potrzeby i cieszył się swoją niezależnością. W jego mieszkaniu stał stary fotel. Ktoś wystawił go na ulicę, czarne obicie przetańczyło się, ale fotel wciąż był wygodny. Poza nim Eschburg miał jeszcze dwa żelazne krzesła, masywny drewniany stół, regały na książki i łóżko.

Redaktor czasopisma filmowego poprosił Eschburga, by zrobił zdjęcia do wywiadu z popularną aktorką. Przyszła nieumalowana, spocona od jazdy na rowerze, miała na sobie białą bluzkę. Sfotografował ją taką, jaka była. Zrobienie zdjęcia nie zajęło nawet kwadransa.

Eschburg miał szczęście. Aktorce spodobało się zdjęcie, wstawiła je na swoją stronę internetową. Poleciała Eschburga kolegom i przyjaciołom. Niedługo później fotografował reżyserów, aktorów, sportowców i piosenkarzy. Następnie byli politycy, menedżerowie i przedsiębiorcy. Eschburg stał się znany, bo ludzie, których fotografował, byli znani. Po trzech latach wydał dwa albumy ze zdjęciami. Zrobił setki czarno-białych portretów, w różnych miastach odbywały się jego wystawy, prace Eschburga znajdowały się na

okładkach płyt, plakatach, w czasopismach, reprodukcje wisiały w restauracjach. Za swoje zdjęcia mógł żądać wysokich cen. Eschburg miał dopiero dwadzieścia pięć lat.

Jego świat zmienił się. Każdego dnia potrzebował godziny, by odpowiedzieć na mejle, i dwóch godzin, żeby poumawiać spotkania. Sprzedaż praw do zdjęć zajęła się jedna agencja, kolejna prowadziła stronę internetową. Podpisał kontrakt reklamowy z producentem aparatów. Dużo podróżował, często budził się w hotelu, nie wiedząc, w jakim mieście przebywa. Myślał wtedy czasami, że lepiej byłoby leżeć w łóżku i czekać, aż wszystko minie.

Cztery lata po przeprowadzce na Linienstraße zadzwoniła do studia Eschburga jakaś kobieta i zapytała, czy miałby czas, powiedziała, że jest w okolicy i chętnie wpadnie. Podała nazwę francuskiego koncernu energetycznego, dla którego pracuje jako doradca. Pół godziny później zadzwoniła do drzwi. Była ubrana w zwiewną żółtą sukienkę, miała wysoko upięte włosy.

– Proszę mi mówić po prostu Sofia, moje nazwisko jest zbyt skomplikowane.

Jej dłoń była ciepła. Na wizytówce napisane było, że jest dyrektorką firmy zajmującej się public relations. Powiedziała, że koncern, dla którego pracuje, chce przeprowadzić kampanię reklamową wykorzystującą wizerunek pewnej kobiety. Zapytała, czy miałby ochotę zrobić do niej zdjęcia.

– Dlaczego mnie wybraliście? – zapytał Eschburg.

Uśmiechnęła się.

– Nie z powodu znanych portretów. Kilka lat temu widziałam jedno z pana zdjęć u pańskiego byłego pracodawcy. Nie było pana tam tego dnia. Fotografia wisiała w pańskim biurze. Mały, czarno-biały portret kobiety.

Eschburg przechował zdjęcia nagiej kobiety, które zrobił, pracując w „głównym źródle dochodów” fotografa. Jedno z nich wisiało nad jego biurkiem.

– Tak, właśnie o nim mówię – powiedziała i wskazała na zdjęcie.

Podeszła do biurka i spojrzała na fotografię. Eschburg stanął obok niej. Sofia nachyliła się, jej kark był drobny.

– Podoba mi się to ujęcie, jest szczerze. Akurat czegoś takiego potrzebujemy do kampanii – powiedziała Sofia. Odwróciła się w jego stronę szybko, ich twarze prawie się zetknęły.

Przez chwilę pozostali bez ruchu.

– Proszę pokazać mi inne zdjęcia – dodała.

Eschburg położył na stole fotografie, które zrobił w ostatnich latach. Wzięła do ręki każde zdjęcie po kolei. Co jakiś czas mówiła: „To jest dobre”. Była zdecydowana w swoich opiniach.

– Napije się pani kawy? – zapytał.

Pokręciła głową, była tak skupiona, że zdawało się, że nic nie może rozproszyć jej uwagi. Po półgodzinie dokonała wyboru.

– Czy mogę wziąć te fotografie? Dostanie je pan z powrotem – oznajmiła. Przez wysokie okna światło padało na jej twarz.

– Czy mogę zrobić pani zdjęcie? – zapytał Eschburg.

Zaśmiała się.

– Musiałabym się przebrać, wyglądam okropnie...

– Nie, proszę nie, zrobimy to teraz. Zobacz pani, dobrze wyjdą.

Ze swojego mieszkania przyniósł składany aparat wielkoformatowy na błony 10 x 15, był drewniany, kupił go ładnych kilka lat temu na targu staroci. Czasami robił nim zdjęcia, podobała mu się masywność aparatu, skomplikowany mechanizm, pracochłonne wywoływanie zdjęć w ciemni. Przerobił aparat tak, by można w nim było używać kasety z filmem.

– Nie wolno się pani ruszyć – powiedział, mocując aparat do statywu i przygotowując kasetę z kliszą. – Jeszcze chwileczkę. Aparat nie ma funkcji głębi ostrości, jeśli się pani poruszy, zdjęcie nie wyjdzie.

Sofia stała przed ścianą na końcu studia. Nagle rozpięła suwak sukienki, która zsunęła się na podłogę. Rozebrała się i stanęła naga pod ścianą z cegieł. Mimo swoich około trzydziestu pięciu lat miała ciało młodej dziewczyny. Ręce założyła na plecach.

Kiedy Sebastian skończył robić zdjęcia, kobieta powiedziała, że chętnie by się czegoś napiła. Poszedł do lodówki po butelkę wody. Kobieta ubrała się, zanim wrócił. Gdy piła, zamknęła oczy, zakrztusiła się, woda spłynęła po jej szyi. Otarła usta wierzchem dłoni.

Wyszła pół godziny później. Na stole zostawiła umowę na wykonanie zdjęć dla koncernu energetycznego. Na odwrocie wizytówki zapisała swój numer komórkowy.

W ciągu tamtych lat w życiu Eschburga było wiele kobiet. Lubiły go, miał raczej powodzenie. Sypiał z nimi, ale nie wzbudzało to w nim emocji. Po kilku dniach zazwyczaj nie mógł sobie przypomnieć ich imion. Kiedy przypadkiem je spotykał, był uprzejmy, ale zachowywał dystans. Dwa razy wydawało mu się, że którąś polubił, ale to uczucie nie trwało dłużej niż tydzień.

Jeszcze tej samej nocy wywołał zdjęcie Sofii. Powiększył je, niczego nie retuszował. Odbitkę powiesił na ścianie w studiu. Tło było rozmazane i ciem-

ne, kosmyk włosów opadł na czoło kobiety, twarz miała skoncentrowaną i białą.

Zdjęcie przedstawiało postać bez rąk, widać było tylko tors.

Kilka dni później Sofia zadzwoniła do Eschburga. Powiedziała, że w weekend będzie w Paryżu, jej agencja organizuje kolację. Musi koniecznie przyjechać, oznajmiła, koncern energetyczny za wszystko płaci. Eschburg spakował torbę podróżną, na koszulach położył zdjęcie kobiety.

Nie widział jej, kiedy wychodził z hali przylotów lotniska Charles'a de Gaulle'a. Stanął przed drzwiami automatycznymi, biznesmeni przepychali się do wyjścia, ktoś przejechał walizką na kółkach po jego bucie. Po hali niósł się krzyk dziecka.

Eschburg usiadł na metalowej ławce. Otworzył torbę i spojrzał na zdjęcie.

– Dobrze wyszło – powiedziała. Nie zauważył, kiedy usiadła obok niego. Pocałowała go w policzek.

Wynajęła samochód. W Paryżu jest latem nie do wytrzymania, powiedziała, ale nad morzem, w Deauville, jest cudownie. Kolacja miała się odbyć dopiero za dwa dni.

Prowadziła mały samochód za szybko, w drodze rozmawiała przez telefon z klientami. Miała dwa aparaty, mówiła po francusku, angielsku, arabsku i niemiecku. Spoglądał przez okno. W pewnej chwili nie słyszał już jej głosu. To był błąd, pomyślał, w końcu nie wiedział już, dlaczego siedzi w aucie obok tej kobiety.

Sofia chciała pojechać szosą prowadzącą nad wodą. Trzydzieści kilometrów przed Deauville zaczęło padać tak mocno, że musieli się zatrzymać. Sofia zaparkowała pod drzewem. Nachyliła się do Eschburga, pocałowała go i rozpięła jego spodnie. Dostał erekcji, prawie bolesnej. Usiadła mu na kolanach. On odchylił siedzenie. Przez tylną szybę widział rowerzystę, który również szukał schronienia pod drzewem. Włosy przylegały mu do twarzy, gapił się na Eschburga i Sofię. Eschburg zamknął oczy. Sofia leżała na nim, twarzą przy jego twarzy. Jej ruchy, jej zapach były obce. Szyby samochodu zaparowały. Po półgodzinie deszcz ustał i pojechali dalej.

Wszystkie pokoje w hotelach w Deauville były zajęte, miejsce znaleźli dopiero w jakimś zapuszczonym pensjonacie. Poszli nad morze. Siedzieli na ławce, padała mżawka, nie dotykali się.

Gdy byli w pensjonacie, długo po tym jak kobieta zasnęła, mężczyzna wstał, wyszedł na niewielki balkon i zamknął za sobą drzwi. Niebo było czarne, zlewało się z morzem. Niedługo znów miał spaść deszcz. Na ścianie ponad nim rozbłyskiwał reklamowy neon pensjonatu. Zastanawiał się, czy odjeżdża stamtąd jakiś pociąg do Paryża, mógłby od razu pójść na dworzec i sprawdzić. Wrócił do pokoju, w półmroku odszukał swoje rzeczy i ubrał się.

– Nie odchodź – powiedziała.

– To zbyt skomplikowane – odparł. W ręku trzymał buty.

– Zawsze tak jest – odpowiedziała. – Chodź.

W ubraniu położył się w łóżku obok niej. Dostrzegł kurz na listwach drewnianych żaluzji. Oddech Sofii był spokojny i miarowy. Mężczyzna powoli się odprężył. Przekręciła się na brzuch i wsparła brodę na dłoniach.

– Zawsze jesteś taki poważny?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Twoje fotografie są poważne. Robisz z tymi zdjęciami coś takiego, czego jeszcze nie rozumiem. Mój ojciec też taki był, ale on nie żyje od dawna – powiedziała. – Wiedziałaś, że barwa na twoich zdjęciach, ta sepia, to atrament z mątwy? Niektórzy lekarze przepisują ją cierpiącym na depresję, pustkę i samotność. Mówią, że potrafi uleczyć zranioną ludzką godność.

Słyszał wiatr oraz deszcz, który znów się wzmógł i uderzał o szyby.

– Co robią twoi rodzice? – zapytała.

– Z matką nie mam kontaktu. – Zaschło mu w gardle.

– A ojciec?

Nie odpowiedział. Później pomyślał o domu nad jeziorem, który wydał mu się bardzo odległy, i nagle był wdzięczny Sofii za jej głos, za jej usta, włosy i skórę, ciepłą i jakby z brązu.

– Podniecił cię tamten rowerzysta? – spytała po pewnym czasie.

– Widziałaś go? – odparł.

Przytaknęła. Potem wstała i otworzyła drzwi na korytarz. Wróciła do łóżka, zsunęła jego koszulę w kierunku głowy i zdjęła mu spodnie. Całowała jego klatkę piersiową oraz brzuch i zsunęła się między nogi. Chciał przyciągnąć ją do siebie, ale odepchnęła go z powrotem na łóżko. Poczul jej piersi na swoich udach. Odgarnęła włosy z twarzy, by mógł się jej przyglądać.

Zastanawiał się, czy to wszystko coś oznacza, czy pokój coś oznacza albo obraz nad kanapą, albo balkon z żelazną barierką. Coś to musiało znaczyć, ale nie wiedział co.

Potrzebował dużo czasu, zanim doszedł.

Gdy tylko na zewnątrz zrobiło się widniej, wstał i przyniósł z bufetu rogaliki i kawę. Sofia znów zasnęła. Jej usta były rozchylone, wyglądała jak dziecko. Wziął kawę i usiadł na balkonie. Piasek na plaży był ciemny od deszczu.

Dwa tygodnie później w atelier Eschburga na stołku przed ceglana ścianą siedziała modelka wybrana do kampanii reklamowej. To miało być dobre zdjęcie, tak jak dobre były wszystkie. Eschburg patrzył przez wizjer aparatu. Nie wiedział, ile razy robił podobne fotografie. Kobieta wysunęła głowę do przodu i wypięła piersi, naprężyła szyję, uśmiechnęła się. Jej twarz była idealnie symetryczna. Paciorki naszyjnika na zdjęciu przypominać będą owale, jasne jak jej zęby, pomyślał Eschburg. Miał przed oczami wszystko, zanim jeszcze nacisnął spust migawki. Zrobienie zdjęcia wydało mu się niewłaściwe. Nie potrafił odróżnić ludzi stojących przed aparatem.

– Przykro mi – cicho powiedział do kobiety. – Jest pani piękna, ale nie mogę zrobić pani zdjęcia.

Modelka nie poruszyła się. Spojrzała na menedżera z agencji reklamowej, przestała się uśmiechać. Menedżer zaczął mówić, mówił coraz głośniejszym głosem, powiedział coś o honorarium i terminach, groził karą umowną i prawnikami. Eschburg odłożył aparat do drewnianej skrzynki.

Po południu poszedł do Starej Galerii Narodowej. Obraz, który chciał obejrzeć, znajdował się na drugim piętrze. Mniejszy, niż zapamiętał, miał metr dziesięć na metr siedemdziesiąt, obok na tabliczce napisane było: „Caspar David Friedrich, *Mnich nad morzem*, 1810”. Malarz nigdy nie sygnował tego obrazu, nie podał roku powstania ani tytułu. Kompozycja była prosta: niebo, morze, skały. Nic poza tym, żadnych domów, drzew, krzewów. Tylko z lewej strony stoi niewielka postać, zwrócona plecami do osoby oglądającej, jedyna pionowa linia. Friedrich pracował nad tym obrazem dwa lata, malując go, miał depresję.

W tysiąc osiemset dziesiątym roku wystawiono obraz po raz pierwszy. Heinrich von Kleist napisał wówczas, że człowiek, który przygląda się płótnu, czuje, jakby obcinano mu powieki.

W tamtym czasie Sofia i Eschburg spędzali ze sobą każdy weekend. Mężczyzna powiedział jej, że nie potrafi już robić takich zdjęć jak kiedyś. Zapropozowała, że pojedą do Madrytu, chciała mu tam coś pokazać. Na lotnisku złapali taksówkę i pojechali do muzeum. Sofia kiedyś żyła w tym mieście, pokazywała Eschburgowi domy, w których mieszkała, wymieniała obco brzmiące nazwiska, nazwy placów i kawiarni, jej głos stał się głęboki i cichy. Opowiedziała, że była wtedy zakochana w starszym mężczyźnie. Romans trwał trzy lata, potem tamten wrócił do żony i dzieci. Ona przeprowadziła się do Paryża i rozpoczęła nowe życie.

Wejściem dla zwiedzających GOYA weszli do Prado, przeszli przez sale, w których prezentowano malarstwo włoskie i flamandzkie, minęli obrazy Tytjana, Tintoretta oraz Rubensa i trafili na portret rodziny królewskiej autorstwa Goi. Po prawej stronie, w pomieszczeniu numer trzydzieści sześć, wisiały obok siebie dwa płótna z numerem siedemdziesiąt dwa. Obydwa przedstawiały tę samą młodą kobietę, leżała na sofie. Na obrazie po lewej stronie była ubrana, po prawej naga. Czubek buta tej ubranej wskazywał na widza, niezależnie od perspektywy, z której patrzyło się na obraz.

Na podłodze w półkolu siedzieli uczniowie z nauczycielką. Niektóre dziewczynki miały pomalowane usta. Kobieta kazała dzieciom wymienić różnice między obydwojma obrazami, Sofia tłumaczyła jej słowa. Jedna z dziewczynek powiedziała, że ta ubrana kobieta na obrazie jest czerwona na twarzy, ponieważ się wstydzi, ale ta naga jest blada i na nikogo nie patrzy. Nie rozumie tego, dodała, przecież powinno być odwrotnie. Nauczycielka wyjaśniła, że Goya namalował *Mają naga* i *Mają ubraną* dla pierwszego ministra. Obrazy połączone były specjalnym mechanizmem, raz widać było jeden, raz drugi, więc albo nagą, albo ubraną kobietę. Minister powiesił ją w „gabinecie erotycznym”. Później inkwizycja kazała obrazy trzymać pod kluczem.

Dziewczynka chciała wiedzieć, czym jest „gabinet erotyczny”, nauczyciel-

ka starała się jej to wytłumaczyć. Powiedziała, że *Maja naga* to pierwszy hiszpański obraz, na którym widać włosy łonowe kobiety. Jeden z chłopców łokciem szturchnął kolegę w żebra i uśmiechnął się szeroko. Nauczycielka powiedziała do ucznia coś, czego Sofia nie zrozumiała, i wtedy chłopiec uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaczerwienił, a jedna z dziewczynek z pomalowanymi ustami oświadczyła, że zachowuje się jak małe dziecko. Nauczycielka wstała i przeszła z uczniami do kolejnej sali.

Przez chwilę Sofia i Eschburg zostali sami z obrazami. Sofia powiedziała, że zanim powstała *Maja*, malarze przedstawiali nagie kobiety tylko jako anioły, nimfy, boginie bądź postaci w scenach historycznych. Mężczyźni mogli je bez wstydu oglądać. – *Maja* taka nie jest. Ma duże piersi, wąską talię, pomalowane na czerwono usta. Wie, jaka jest piękna, i wie, co robi – powiedziała.

Eschburg pomyślał o mężczyźnie, który sypiał z Sofią w tym mieście. Myślał, jak tamten dotykał jej ciała, skóry pod letnią sukienką, obojczyków i jasnej blizny nad lewą brwią.

– Rozumiesz, Sebastianie, tym obrazem Goya kompromituje ówczesnych mężczyzn, oni gapili się tylko na nagą kobietę, nie na anioła czy boginię. Nie mieli już żadnej wymówki. Tymczasem to oni byli nadzy, nie *Maja* – powiedziała Sofia.

Na tabliczce napisano po hiszpańsku i angielsku, że nie wiadomo, czy obraz przedstawia księżną Alby, czy inną kobietę.

– Kim była księżna Alby? – zapytał Eschburg.

– To prawdopodobnie kochanka Goi – odparła Sofia. – Goya spędził lato w jej posiadłości ziemskiej, już po tym, jak zmarł mąż kobiety. Artysta namalował dla niej obraz, wyznanie miłości. Księżna, ubrana cała na czarno, palcem wskazuje w dół. Na piasku napisane jest *solo Goya*, „wyłącznie Goya”. Jednak słowo *solo* oznacza również „tylko”. Kochanek księżnej był „tylko Goyą”, zaledwie malarzem, nikim. Wielu uważało, że *Maja* jest tą księżną. Być może to prawda, być może jednak nie.

Długo jeszcze stali w małej sali przed oboma obrazami. Było ciepło. Sofia, tuż obok niego, była namacalna i oddychała, w tamtej chwili należała tylko do Eschburga. Ogarnął go wtedy strach, że ją straci, ponieważ jest taki, jaki jest.

– *Maja* to prawdziwy obraz – powiedział.

Po wyjściu z muzeum zaglądali do każdego sklepu z antykami, który mijali. Kobieta w końcu znalazła to, czego szukała – stare blaszane pudełko na cygara, na przykrywce znajdował się obrazek *Mai nagiej*, kolory były wyblakłe. Powiedziała, że jakiś czas temu można było wszędzie dostać te pudełka, cygara nazywały się *Goya*. Sprzedawca oznajmił, że na Wyspach Kanaryjskich wciąż są produkowane.

Kiedy wyszli na ulicę, Sofia wzięła mężczyznę pod rękę.

– Chcesz mieć dzieci? – rzuciła niespodziewanie. Zapytała tak, jakby to było najzwyczajniejsze pytanie.

Eschburg nie spojrzał na nią.

Jakaś starsza kobieta pchała po chodniku wózek ze swoim dobytkiem. Był zardzewiały, jedno z kółek blokowało się i kobieta nie mogła prowadzić go prosto. Wózek był pełen plastikowych i szmacianych toreb. To wszystko, co ta starsza kobieta posiada, pomyślał Eschburg.

Objął Sofię i przyciągnął do siebie. Chciał jej odpowiedzieć, ale ona odwróciła się do niego i pokręciła głową.

– Pospieszłam się – powiedziała i pocałowała go.

Mężczyzna wydał się sobie dziwaczny i głupi.

Kobieta z wózkiem zatrzymała się. Splunęła na ziemię.

Eschburg szukał w kieszeniach papierosów. Sofia powiedziała, że jest głodna. Poszli do restauracji przy Calle Toledo, w której kiedyś jadła. Na ścianach na pierwszym piętrze wisiały zdjęcia hiszpańskich gwiazd filmowych. Zjedli porcję *pimientos de Padrón*, zielonych papryczek w gorącej oliwie z oliwek i z grubą solą morską.

Przez otwarte okna w ich pokoju hotelowym wdzierał się do środka suchy miejski skwar.

– Nigdy do końca nie jesteś obecny – powiedziała. – Zawsze tylko jedna część ciebie jest blisko, ta druga jest daleko.

Rozebrali się i położyli na łóżku.

– Uwielbiam w tobie, że jesteś inny, ale często wydaje mi się, że czegoś ci brak – powiedziała.

– Musisz mi pomóc – odparł.

– W czym? – zapytała.

– We wszystkim – stwierdził. Nie wiedział, co innego odpowiedzieć.

Nie umiał jej tego wyjaśnić, myślał za pomocą obrazów i kolorów, nie zaś słów. Nie potrafił opowiedzieć jej o strzale w domu nad jeziorem, o rozciętym brzuchu sarny. Jeszcze nie teraz.

– Czego szukasz, Sebastianie? Możesz powiedzieć? – zapytała.

Pokręcił głową. Żaden człowiek nie potrafi zrozumieć drugiego, pomyślał.

– Trudno się z tobą żyje – powiedziała znużonym głosem.

Raptem ogarnęło go przekonanie, że sprawy między nimi przybiorą dobry obrót. Kiedyś ona zrozumie mgłę, pustkę i odrętwienie. Chwilę później Eschburg znów chciał być sam, poczekać, aż wszystko się ułoży i uspokoi.

Z placu przed hotelem dobiegały głosy turystów. Leżała na jego zdrętwiałym ramieniu, Eschburg nie miał odwagi się ruszyć. Czuł jej skórę na swojej i myślał o kolorach malw. Kobieta była pełna życia, a on sam sobie obcy. Już nie wiedział, czy to, co widział, jest rzeczywiste.

Wiedział jedynie, że może ją zranić.

Sofia i Eschburg zabłądzili, przyjechali kwadrans spóźnieni. Opis dojazdu nie wydawał się skomplikowany, ale nie było tam ulic ani drogowskazów, jedynie polne i leśne drogi. Znajdowali się w pobliżu starego domu nad jeziorem.

Dom, do którego chcieli dotrzeć, był mały i czworoboczny. Leżał na wzniesieniu w otoczeniu lasu, drzewa górowały nad budynkiem.

Czekał na nich mężczyzna. Zszedł po zarośniętych stopniach. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę i miał czarne okulary przeciwsłoneczne, żadna z tych rzeczy nie pasowała do domu. Był producentem filmów porno i na takiego wyglądał. Jednak kiedy zdjął okulary, przypominał już tylko starego człowieka o szarych oczach.

Kiedy wchodzili po schodach, producent porno powiedział, że zimą do domu można dostać się, tylko jeśli założy się łańcuchy na koła albo ma się samochód terenowy. Najbliższy sąsiad mieszka w odległości piętnastu kilometrów. Dom miał kiedyś należeć do ptasznika. Mężczyzna twierdził, że taki zawód naprawdę istniał, myśliwi odławiali w lasach ptaki śpiewające i sprzedawali je na miejskich bazarach. Zbadał tę sprawę, powiedział.

Kiedy weszli do środka, producent porno zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją przy drzwiach. Pokazał Sofii i Eschburgowi salon, usiedli na sofie. Mężczyzna poszedł do kuchni, żeby zaparzyć kawę. Dom miał niskie sufity i pachniał wilgotną ziemią. Na ścianach w pokoju wisiały oprawione w antyramy zdjęcia egzotycznych ptaków. Pod fotografiami znajdowały się napisy: „Japurá, godzina 6.35” lub „Mantaro, godzina 20.49” czy „Juruá, godzina 14.17”. Po jakimś czasie producent porno wrócił z tacą, filiżanki były cienkie, uderzały o siebie. Eschburg zastanawiał się, według jakiego porządku ułożone były zdjęcia.

Nie rozumiem – powiedział producent porno po tym, jak usiadł w jedynym

fotelu – dlaczego chcą państwo zrobić to zdjęcie. Wydaje mi się, że nie spodoba się państwu w moim studiu. Dwadzieścia lat temu było inaczej, ale dziś w takich filmach nie narzuca się aktorom scenariusza, teraz pozostawia się im swobodę. Jeden z moich scenarzystów poszedł do telewizji, pisze teraz seriale o szpitalach. Dziś każdy może kręcić filmy. Każda gospodyni domowa, która potrzebuje pieniędzy na czynsz, ma swoją stronę internetową z podglądem z kamery. Ten, kto chce przetrwać jako producent, musi się w czymś wyspecjalizować.

Mężczyzna miał ogromne dłonie. Nie kładł ich na stół, jakby się ich wstydział. Powiedział, że jest również reżyserem wszystkich filmów, które produkuje.

Producent porno kupił we wsi przełożone kremem ciasto drożdżowe z polewą z miodu i migdałów oraz placek z malinami. To malinowe jest bardzo dobre, powiedział do Sofii i uśmiechnął się. Nalegał, by koniecznie go spróbowała.

– Musiałem się wyspecjalizować, nie było innej możliwości. Teraz robię filmy z wieloma osobami, sceny zbiorowe, amatorom trudno coś takiego zagrać według scenariusza.

Eschburg i Sofia obejrżeli dwa z jego filmów. W każdym z nich występowała tylko jedna kobieca postać, młoda. Kobiety nie były profesjonalnymi aktorkami, raczej studentkami albo uczennicami przyuczającymi się do zawodu. Na początku mężczyzna przeprowadzał wywiad z siedzącą przed kamerą młodą kobietą. Rozmawiał z nią zupełnie normalnie, tak jak rozmawia się z kimś, kogo się poznaje. Pytał, ile ma lat, skąd jest, czym się interesuje. W trakcie rozmowy dołączali mężczyźni. Kamera pokazywała tylko ich fiuty. Mężczyźni obryzgiwali twarz kobiety spermą. W tym czasie aktorka mówiła o codziennych sprawach. Nie wolno jej było wytrzeć spermy. Po wywiadzie z producentem porno kamera się wycofała. Kobieta musiała wtedy zaspokoić oralnie kolejnych mężczyzn, dwudziestu pięciu czy trzydziestu. Dla każdego miała co najwyżej minutę. Po tym jak wszyscy obryzgali jej twarz spermą, kamera podążyła za kobietą w drodze do łazienki. Podczas kiedy kobieta się myła, producent porno przeprowadził z nią kolejny wywiad. Zapytał ją, co o tym wszystkim sądzi.

Producent porno zjadł kawałek placka z malinami.

– Na taki film składa się wiele elementów – powiedział. – Eksperymentowałem również z dekoracjami, teraz wykorzystuję jedynie czarne ściany i podłogi.

Sofia wyjaśniła mężczyźnie, jak wyglądać miałyby zdjęcie zrobione przez Eschburga i co muszą zmienić w studiu. Rozłożyła na stole rysunki. Producent porno dokładnie wszystkie obejrzał, dopytywał o szczegóły. Kiedy rozmawiali o pieniądzach, Eschburg zapytał, ile ma zapłacić mężczyznom.

– Ja w ogóle im nie płacę – odparł producent porno. – To amatorzy. Muszą tylko przedstawić aktualny test na AIDS, wymagam tego dla bezpieczeństwa kobiet. Muszą też ogolić genitalia. Ale to jedyne warunki. Kandydatów jest zawsze więcej niż mi potrzeba. Jeśli chce pan dać im pieniądze, to pańska sprawa, nie będzie to pana zresztą dużo kosztować.

Najpopularniejszym filmem producenta porno była *Wenus w kąpielni ze spermy*. Dostał za nią nagrodę przemysłu filmów erotycznych, odpowiednik platynowej płyty dla producenta muzycznego.

Mężczyzna popijał kawę, dużo mówił i wyglądał na bardzo zmęczonego. Nagle zapadła cisza. Eschburg spojrział przez okno. Przed domem znajdował się stos świeżego drewna na opał, polana ułożone były starannie jedno na drugim, do następnej zimy będą suche. Dalej rozciągała się łąka, a za nią las.

Eschburg myślał o obrazie Botticellego *Narodziny Wenus*. W mitologii Kronos odcina swemu ojcu, Uranosowi, genitalia i rzuca je do morza. Z morskich fal, spienionych od krwi i nasienia, rodzi się Wenus. U Botticellego jej piękna twarz pozostaje poważna, zachowuje dystans, rozumie wszystko, ubolewa, ale nigdy nie stanie się częścią tego świata.

Z chęcią robiłbym inne filmy – powiedział producent porno, przerywając milczenie. – Myślałem już, żeby nakręcić dokument o wędrownkach ptaków do Afryki. Wiedzą państwo, że niektóre ptaki lecą do ciepłych krajów pięć tysięcy kilometrów? No, naprawdę, tak robią. I reagują na ziemskie pole magnetyczne. Jednak od kilku lat coraz mniej ptaków odlatuje na południe. Jest to związane z klimatem, zmieniają się wpływy ciepłego prądu zatokowego

i zimnego prądu Humboldta.

Głos producenta stał się miękki.

– Wydaje mi się nawet – powiedział – że wędrówki wkrótce ustaną. Szpaki już teraz zimują w mieście. Może któregoś dnia zrobię ten film.

Jeszcze przez chwilę siedzieli w salonie. Producent porno opowiadał o swojej córce, która podobno studiowała archeologię. Nagle wstał, bez słowa podszedł do drzwi i znów włożył skórzaną kurtkę. Na wełnianym kołnierzu znajdowała się drzazga z drewnianego wieszaka. Odprowadził Sofię i Eschburga do samochodu. Powiedział, że mogą przyjechać, kiedy chcą, co tydzień kręci jakiś film.

Wracali przez las, zrobiło się chłodniej, drzewa odbijały się w masce samochodu. Eschburg powiedział, że zdjęcia ptaków na ścianach uporządkowane były według kolorów, a nie zgodnie z dopływami Amazonki. Sofia miała w oczach łzy.

Chciał pokazać jej jeszcze stary dom nad jeziorem. Wieś zmieniła się, aptekę zlikwidowano, były za to dwie kafejki i nowoczesna metalowa fontanna. Na ulicy leżał nowy asfalt. Zniknął krzywo przystrzyżony żywopłot z bukszpanu i wjazd na posesję. Znajdował się tam teraz parking, samochody, na ogół drogie, miały tablice rejestracyjne z Monachium i Starnbergu. W parku stały pomalowane na biało drewniane domki letniskowe, każdy z werandą od strony jeziora, wszystkie jednakowej wielkości.

Stary dom został wyremontowany, dach zmieniono, a nowe okna na pierwszym piętrze sięgały podłogi. Przy schodach znajdowała się tabliczka: „Wstęp tylko dla członków klubu golfowego”.

Poszli nad jezioro. Przystań, hangar na łódzie i stajnia zostały zlikwidowane, zapadającą się kaplicę zaadaptowano na pomieszczenie gospodarcze, w którym stały meleksy. Pomiędzy domkami letniskowymi wytyczono ścieżki wysypane białym żwirem, założono rabatki, a na trawnikach ustawiono solidne plastikowe ławki. Za domem znajdował się wielki taras z drewna tekowego, pod parasolami siedzieli ludzie ubrani w żółte i czerwone pulowery bez rękawów i kraciaste spodnie i spódnice.

– Przykro mi – powiedziała Sofia.

Eschburg chciał jej opowiedzieć o stojącym na dachu zardzewiałym kurku. Chciał powiedzieć jej o kolorach, które tu były, o brązie, cytrynowej i kadmowej żółci, zieleni cyjanowej, oliwkowej i chromowej, sjenie palonej i kolorze piasku. Chciał powiedzieć jej, że rzeczywistość jest szybsza niż on, który po prostu nie nadąża. Rzeczy dzieją się, a on im się tylko przygląda. – Tam stał nasz hangar – powiedział.

Mężczyzna w niebieskiej marynarce szedł w ich stronę po trawniku.

– Przepraszam, czy są państwo członkami klubu? – zapytał. Był młody, uprzejmy i miał bardzo białe zęby.

– Nie – odpowiedział Eschburg.

– Wobec tego jestem zmuszony prosić, by opuścili państwo teren klubu.

Tylko jezioro się nie zmieniło, wokół niego nadal rosła trzcina i ciemnozielone drzewa, na wodzie wciąż unosiły się pyłki kwiatów.

– Rozumiem – odparł Eschburg.

W drodze na lotnisko zatrzymali się na stacji benzynowej. Czekając na Sofię, Eschburg przeglądał czasopisma wyłożone na regale nad słodyczami i chipsami. Nagłówek jednej z bulwarówek informował, że ludzkość dawno już zbankrutowała, ma pięćdziesiąt tysięcy miliardów euro długu. Eschburg nie rozumiał, komu ludzkość jest winna te pieniądze. Kupił papierosy i plastikową zapalniczkę. Kiedy wracał do samochodu, zrobiło mu się niedobrze. Zwymiotował obok dystrybutorów paliwa.

Kilka godzin później siedzieli w samolocie do Berlina. Pomyślał, że to pierwsza kobieta, z którą mógłby to sobie wyobrazić. Z nią możliwa jest samotność i milczenie. Położył swoją dłoń na jej dłoni i trzymał mocno.

Sofia spojrzała na niego, jakby był obcy.

Z góry dostrzec mogli równiutkie pola, równo wytyczone pasy, czworoboki kukurydzy i koniczyny. Porządek uspokajał Eschburga.

Przez dwa miesiące Eschburg pracował nad zdjęciami. Nadał im tytuł *Mężczyźni Mai*. Przedstawiąły Sofię leżącą na kanapie. Scenograf zbudował identyczną kanapę jak ta na obrazie Goi. Na pierwszym ze zdjęć Sofia była naga. Wokół niej stało szesnastu mężczyzn w garniturach i gapiło się na nią. Sofia leżała w takiej samej pozycji i była umalowana tak jak Maja na płótnie artysty. Perspektywa aparatu była perspektywą Goi.

Na drugim zdjęciu Sofia miała na sobie strój Mai. Mężczyźni stali tak jak na pierwszym zdjęciu, ale tym razem to oni byli nadzy. Gapili się na Sofię, trzymając głowy w takiej samej pozycji, ich fiuty były sztywne, skierowane na twarz i ciało kobiety. Dwóch z nich obryzgało bluzkę Sofii spermą.

Byli naturszczykami pracującymi dla producenta porno. Mieli różny wzrost, niektórzy brzuchy, jeden miał plaster na przedramieniu, pięciu brodę, czterech nosiło okulary. Aparat ze szczególną dokładnością wychwytał każde zaczerwienienie skóry, każdy włos.

Eschburg robił te zdjęcia w studiu producenta porno. Użył aparatu marki Hasselblad model 503 CW oraz matrycy o rozdzielczości trzydziestu dziewięciu megapikseli. Odbitki zostały wykonane za pomocą drukarki LightJet 500 XL w laboratorium fotograficznym Grieger w Düsseldorfie i przymocowane do akrylowych płyt formatu metr osiemdziesiąt na trzy metry.

Płyty wisały jedna za drugą. Widać było tylko zdjęcie nagiej Sofii i ubranych mężczyzn. Silnik elektryczny napędzał mechanizm, który co dwie minuty przesunął przednią płytę do góry i wtedy ukazywało się znajdujące się z tyłu zdjęcie nagich mężczyzn. Następnie pierwsza fotografia wracała na dawne miejsce.

Po tym jak robotnicy zamontowali silnik elektryczny, Eschburg wspiął się po żelaznych schodach zewnętrznych na dach fabryki. Po przeprowadzce na Linienstraße cztery lata wcześniej niekiedy nocował tam w upalne noce, dwa kasztanowce na podwórzu przywodziły mu na myśl dom. Później często rozmyślał, dlaczego wszedł na dach tamtego dnia, może z powodu upału albo przemęczenia lub czegoś, czego nie dało się wyjaśnić.

Na huśtawce ogrodowej, która zawsze stała na dachu, leżała kobieta. Miała na sobie espadryle i jedwabne kimono, na oko stare i brudne. Eschburg chciał zawrócić.

– Spokojnie, proszę zostać – powiedziała kobieta.

Smoła zrobiła się miękka od upału. Kobieta miała na czole jasną bliznę.

– Już raz się spotkaliśmy, kilka lat temu, kiedy się wprowadziłem – oznajmił Eschburg.

– Senja Finks – powiedziała kobieta. – Nie podam panu ręki, jest zbyt gorąco.

Miała około trzydziestu pięciu lat. Jej włosy zakrywała chustka, oczy były schowane za dużymi okularami przeciwsłonecznymi. Sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej.

– Proszę usiąść – powiedziała.

Obicie było poplamione i podarte, ze środka sterczało żółte piankowe wypełnienie.

– Napije się pan piwa? – zapytała Senja Finks. – Jest zimne.

– Ma pani coś innego?

– Tylko piwo.

– Więc poproszę – odparł Eschburg.

Senja Finks odsunęła wieko przenośnej lodówki, wyjęła butelkę i otworzyła ją plastikową zapalniczką. Huśtawka powoli poruszała się do przodu i do tyłu. Perfumy kobiety miały zapach cedru i ziemi.

– Pan robi zdjęcia? – zapytała.

– Tak – odpowiedział Eschburg.

Wyjęła sobie z lodówki kolejne piwo. Ochlapała pianą swoje kimono, odsłonięte kolano i papę, kiedy otwierała butelkę. Piana szybko wyschła, pozostawiając białą obwódkę na nagrzanym dachu.

– Skąd pani pochodzi? – zapytał Eschburg, bo wydawało mu się, że musi o coś zapytać. – Mam na myśli pani akcent.

– Odessa, Morze Czarne. Jestem tu ponad dziesięć lat. – Wierzchem dłoni otarła usta.

– I czym się pani zajmuje? – spytał Eschburg.

– Niczym – odpowiedziała. Po chwili dodała: – Zajmowałam się już wszystkim.

Eschburg myślał o ostatnim zdaniu, które powiedziała, i milczenie już mu nie przeszkadzało. Popijali piwo, Senja Finks skręcała papierosy z ciemnego

tytoniu i paliła. W pewnym momencie Eschburg przysnął.

Kiedy się obudził, nie wiedział, ile czasu upłynęło. Powiedział, że musi już iść. Kolanem uderzył o żelazny stół, butelka, pełna do połowy, przechyliła się. Senja Finks zareagowała tak szybko, że Eschburg nie dostrzegł jej ruchu. To była mechaniczna reakcja, podświadoma, precyzyjna, zdecydowana. Złapała butelkę lewą ręką, zanim ta roztrzaskała się na dachu. Oddech kobiety nawet nie przyspieszył.

Kimono rozchyliło się. Kobieta miała płaski i mocny brzuch. Eschburg zauważył blizny, ciągnęły się przez całą klatkę piersiową, długie pręgi jak od uderzenia batem. Pod jej lewą piersią znajdowała się sowa. Początkowo myślał, że to tatuaż, ale potem dotarło do niego, że ktoś żelazem wypalił ten obrazek na skórze.

Wystawa *Mężczyźni Mai* okazała się sukcesem. Pewien telewizyjny magazyn kulturalny zapowiedział wernisaż. Popołudniem przed otwarciem ustawiała się kolejka ludzi przed galerią.

Sofia miała na sobie czarną sukienkę, włosy upięła z tyłu, szczupła i elegancka, pewnie poruszała się wśród gości. Rozmawiała z każdym, rozdawała wizytówki, śmiała się, a chwilę później robiła się poważna.

Myślał o oczku w jej rajstopach, którym zdenerwowała się przed wystawą, i o tym, jak rano w milczeniu spoglądała przez okno w kuchni. Przyglądała się chłopcu, który bawił się na podwórku. Potem odwróciła się do Eschburga, a ten zobaczył na jej twarzy to pytanie, którego nie zadała i na które on nie potrafiłby odpowiedzieć.

Eschburg spojrział na Sofię. To wszystko jest możliwe tylko z nią, pomyślał, fotografowanie, jego życie i sprostanie mu.

Eschburg wyszedł z wernisażu, wrócił na Linienstraße, spakował rzeczy i pojechał na pływalnię w Charlottenburgu. Została zbudowana w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, składały się na nią trzy piętra, fasada w stylu secesyjnym, z czerwonych cegieł, dach ze stalowej konstrukcji przypominający te w halach targowych.

Przeszedł przez zieloną żelazną bramę. O tej porze był tam prawie zawsze sam. Przebrał się, wziął prysznic i po drabince zsunął się do basenu. Przepłynął kilka długości, szybko i w równym tempie. Potem przekręcił się na plecy i przez wysoki przeszklony dach spoglądał w niebo. Wypuścił powietrze i opadł na dno basenu. Został pod wodą, dopóki nie poczuł bólu. Samurajowie w starożytnej Japonii co dzień wstawali z łóżka, wypowiadając zdanie: „Jesteś martwy”. Umieranie stawało się dzięki temu łatwiejsze. O tym właśnie myślał wówczas i niczego mu nie brakowało.

Eschburg pojechał z powrotem do atelier. Przy Oranienburgerstraße stały prostytutki w butach na wysokim obcasie, peruki kobiet miały kolor inten-

sywnego blondu lub czerni, pot pozostawiał na makijażu cienkie, podłużne bruzdy.

Przed galerią wciąż stała kolejka. Eschburg poszedł dalej, aż do kina studyjnego. Kupił bilet na film, który dopiero co się zaczął. Usiadł w ostatnim rzędzie z brzegu. Dźwięki były za głośne, a sceny zbyt szybko po sobie następowały, nie nadążał za akcją.

Opuścił kino po półgodzinie. Upał prawie nie zelżał. Na chodnikach było mnóstwo ludzi, przed jedną z restauracji ze stolikami na zewnątrz grali muzycy, kilkoro podpitych turystów tańczyło.

Chodził ulicami, dopóki się nie zmęczył. Zatrzymał się przy jakimś placu budowy. Śmierdziało ściekami i stęchlizną. Eschburg spojrział w dół. Pomiędzy rurami leżał lis, jego sierść była mokra i cała w piachu. Wpatrywał się w martwe zwierzę i aż pomyślał, że to ono przygląda się jemu.

Kiedy nazajutrz rano Eschburg wszedł do atelier, Sofia siedziała przy biurku.

– *Mężczyźni Mai* zostali sprzedani wczoraj – powiedziała. – To był jakiś Japończyk. Jesteś teraz bogaty. – Zaśmiała się.

W ścianie studia wciąż tkwiły żelazne haki.

– Bez ciebie to nigdy by się nie udało – powiedział.

Wyglądała na szczęśliwą i zmęczoną.

– Może gdzieś wyjedziemy? – zapytał – Moglibyśmy wynająć dom na Majorce.

– Zgoda – odparła.

Przez ostatnie noce przed wystawą prawie nie spali. Sofia usiadła przed komputerem i zajęła się szukaniem domku do wynajęcia. Wylecieli następnego dnia wczesnym rankiem.

Na lotnisku wynajęli auto i drogą szybkiego ruchu pojechali w kierunku Santanyi, miejscowości na południowym wschodzie wyspy. Klimatyzacja była zepsuta, Sofia związała chustą włosy i otworzyła okno. Powietrze było gorące i słone. Zatrzymali się w Lluçmajor.

Espresso podane w Café Colon było ohydne, przy barze przekupki z targu rozmawiały jedna przez drugą, automat do gry był włączony. W sklepie spożywczym zrobili zakupy i znów wsiedli do samochodu. Za S'Alqueria Blanca zjechali z głównej szosy i pojechali drogą prowadzącą pod górę, otoczoną wąskimi murkami.

Wieczorem opiekali kromki ciemnego chleba i jedli go z oliwą z oliwek, pomidorami i czosnkiem. Morze znajdowało się prawie dwa kilometry dalej, ale i tak czuli zapach alg. Siedzieli na tarasie, nad migdałowcem i sosnami alpejskimi spoglądali na równinę i dalej, aż na morze. Ziemia była czerwona od tlenku żelaza.

Obudził go wystrzał tłumika gdzieś na dole, na uliczce. Sofii nie było obok niego. Poszedł do ogrodu. Kobieta siedziała na leżaku przy basenie.

– Może to ostatnie dni – powiedziała.

Spojrzał na nią. Podświetlona woda w basenie była zielononiebieska.

– Co masz na myśli? – Był rzeński i jednocześnie półprzytomny. Chciał wrócić do łóżka.

– Boję się, że może cię zabraknąć. I boję się twoich fantazji. Kochanie cię bardzo wyczerpuje. – Milczeli oboje.

Potem Sofia zapytała:

– Kim ty jesteś, Sebastianie?

Eschburg wstał i poszedł po butelkę wody. Kiedy wrócił, światło w basenie było wyłączone. Położył się obok niej, jedną dłonią objął jej kark i zamknął oczy. Myślał o kolorze ziaren owsa, które dwoma palcami wyciągał ze źdźbeł, oraz o kolorze trzciny przy hangarze na łodzie, ostrej i kaleczącej nogi.

– Wciąż jesteś obcy – powiedziała.

– Przykro mi – odparł Eschburg. W oddali widział statki, przemieszczające się światła, bursztyn, agat i karneol, czekał na zapadającą między zdaniem ciszę, jego jedyną miarę bliskości z drugim człowiekiem.

Nocą wiatr przyniósł z Afryki piasek i rano wszystko pokryte było cienką, bladożółtą warstwą.

Po tygodniu każde z nich wsiadło w samolot, Sofia musiała wrócić do Paryża, Eschburg chciał być w Berlinie. Na lotnisku wziął taksówkę i pojechał na Linienstraße.

Wniósł walizkę na pierwsze piętro. Drzwi mieszkania sąsiadki stały otwarte na oścież. Eschburg zajrzał do środka. Pomieszczenie było prawie puste, na jego środku znajdowała się sofa i mały stolik.

Na sofie leżała jakaś kobieta. Była naga. Eschburg nie widział jej twarzy, głowę oparła na bocznym oparciu i nie ruszała się. Przez chwilę myślał, że kobieta nie żyje. Chciał do niej podejść, ale w tej samej chwili drogę zastąpiła mu Senja Finks. Stała przy drzwiach. Skinęła w kierunku Eschburga, powoli i z powagą. Potem położyła prawą rękę na jego klatce piersiowej, wypchnęła go delikatnie na korytarz i zamknęła ciężkie drzwi. Nie powiedziała ani słowa.

Eschburg wszedł do swojego mieszkania, rozpakował walizki i położył się do łóżka. Spał niespokojnie. Kiedy około piątej nad ranem się obudził, poczuł, że nie jest sam. Mieszkanie spowijały ciemności. Czekał z zamkniętymi oczami, nie ruszał się. Nagle pojawił się zapach cedru. I wtedy poczuł jej oddech na swojej twarzy.

W ciągu następnych dni Eschburg porządkował swoje atelier. Odmalował przestawne ścianki, załatwił korespondencję, rozkręcił aparaty i je wyczyścił, zatelefonował do właściciela galerii, w której wystawiał swoje prace, i do swojego wydawcy, poszedł do fryzjera i kupił sobie spodnie. Odbywał długie spacery po mieście i w parkach, chodził na wystawy i godzinami przesiadywał w kawiarni. Czuł, że źle znosi nieobecność Sofii.

Dziesięć dni później poleciał do Paryża. Agencja Sofii organizowała wieczorne przyjęcie dla towarzystwa ochrony zwierząt. Eschburg pojechał tam prosto z lotniska. Przyjęcie odbywało się w Hôtel de Crillon przy Place de la Concorde. Kobiety były ubrane w długie suknie, mężczyźni w smokingi. Eschburg nudził się. W łazience młody mężczyzna wciągał kreskę kokainy, lewy płatek jego ucha wypełniało szerokie na mniej więcej dwadzieścia milimetrów jaskrawozielone silikonowe kółko. Eschburg wyszedł przed hotel i przyglądał się ruchowi ulicznemu.

O pierwszej w nocy Sofia mogła już iść do domu. Zatrudniony w agencji kierowca odwiózł ich do jej mieszkania – trzy nieduże pokoje w dziesiątej dzielnicy. Nad łóżkiem Sofii wisiało zdjęcie, które zrobił jej Eschburg. Powiększył je do rozmiarów metr pięćdziesiąt na metr pięćdziesiąt. Była to jedyna fotografia w mieszkaniu. Sofia powiedziała, że bardzo się cieszy z jego przyjazdu. Potem padła na łóżko i od razu zasnęła.

Sypialnię i salon dzieliły szklane przesuwane drzwi. Obserwował przez nie Sofię i widział jednocześnie swoje odbicie, ich twarze nakładały się. Długo tak stał i przyglądał się jej, jak śpi.



Gdy weekend dobiegł końca, Eschburg z powrotem poleciał do Berlina. Poszedł do biblioteki państwowej i szukał książek o sir Francisie Galtonie, kuzynie Darwina, urodzonym w Anglii na początku dziewiętnastego wieku.

Galton wymyślił mapę synoptyczną oraz identyfikację za pomocą odcisków palców. Był przekonany, że wszyscy przestępcy mają widoczne cechy, które odróżniają ich od reszty ludzi. Galton długo zastanawiał się, jak mógłby je odkryć, ustawił więc w londyńskim areszcie swój aparat i polecił przyprowadzić więźniów. Na jednej płycie sfotografował wszystkie twarze, jedną po drugiej. Galton nie wiedział, jak wygląda zło, mogło się kryć w oczach, uszach, ustach lub na czole. Uczony zdumiał się, gdy po raz pierwszy zobaczył zdjęcie: nie przedstawiało żadnych szczególnych właściwości – twarz, na którą składały się oblicza wielu przestępców, była piękna.

Eschburg dużo wówczas czytał, zapisał cały notatnik, nocami rysował szkice instalacji. Cztery tygodnie później za pośrednictwem agencji aktorskiej zatrudnił trzydzieści sześć kobiet. Podał jedynie parę warunków: wszystkie miały być mniej więcej podobnego wzrostu i w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat, mieć rozmiar trzydzieści sześć i zgodzić się na rozbierrane zdjęcia.

Konstrukcja ustawiona na drewnianym podeście zmuszała wszystkie modelki do zajęcia jednakowej pozycji ciała. Eschburg fotografował każdą kobietę z przodu, jedną po drugiej, aparatem marki Deardorff na kliszach do polaroida o formacie osiem na dziesięć cali. Zdjęcia naświetlał przez piętnaście sekund.

Obrazy na polaroidowym filmie wyszły jasnoszare, wyglądały jak rysunki miękkim ołówkiem. Długi czas naświetlania sprawił, że zniknęło wszystko, co nieistotne, widoczne były jedynie zarysy ciał i twarzy. Następnie Eschburg polecił zeskanować fotografie, powiększyć tak, by miały dwa metry kwadratowe, i wydrukować na cienkich płytach z pleksi.

W tamtym czasie do atelier Eschburga co rano przychodził młody mężczyzna, zajmujący się zawodowo tworzeniem gier wideo dla pewnej firmy produkującej oprogramowanie. Podłączał swój komputer, siadał przed monitorem o najwyższej rozdzielczości i projektował instalację zgodnie z wytycznymi Eschburga. Eschburg kazał wyjaśnić sobie działanie jego programu. Dwa miesiące później odkupił komputery młodego mężczyzny i przez kolejnych osiem miesięcy pracował sam. Upłynął rok, zanim instalacja była gotowa. Sprawy z Sofią stały się wtedy prostsze, przywykli do siebie, a Eschburgowi

wydawało się, że odnalazł właściwy rytm w ich związku.

Na koniec pokazał instalację właścicielowi galerii sztuki, w której wystawiał swoje prace. Eschburg zostawił jego oraz Sofię samych w atelier i wyszedł na dziedziniec. Usiadł na schodach przed wejściem i obierał pomarańczę, kawałki skórki układał starannie jeden na drugim. Obrany owoc uniósł do słońca, obrócił go, widział poszczególne cząstki, białą skórkę, cienkie żyłki, pomarańcz, żółć i czerwień. Zastanawiał się, jak daleko wstecz ciągnie się ta nieskończona liczba decyzji, podjętych aż do momentu, kiedy siedzi tu na schodach. Eschburg powoli zaciskał dłoń, miąższ wypływał spomiędzy jego palców, sok pryskał na jego koszulę, włosy i twarz.

Wjazd do domu Eschburga przy Linienstraße był prawie pogrążony w ciemności, już od kilku tygodni nie działała jedna z dwóch lamp. Mimo to Eschburgowi udało się rozpoznać Senję Finks. Jakiś obcy człowiek ścisnął jej gardło i przypierał ją do ściany. Mężczyzna był krępy, miał wygolony kark, kaszkiet, szerokie ramiona. Wbił nóż w brzuch kobiety, działał szybko. Eschburg ruszył biegiem.

Obcy zamachnął się po raz drugi. Eschburg złapał za kołnierz skórzanej kurtki mężczyzny i szarpnął go do tyłu. Tamten potknął się, stracił równowagę. Eschburg pochylił się nad nim, kiedy ten upadał, i uderzył go. Zrobił to z całej siły, trafił w brodę mężczyzny, żuchwa roztrzaskała się.

Za późno usłyszał świst za lewym uchem, nie mógł się uchylić. Stalowy pocisk napastnika uderzył o jego głowę. Eschburg miał szczęście, kąś strzału był niewielki, kula nie rozgruchotała czaszki. Upadł na kolana. Widział nieskoszowane kamienie, pomiędzy nimi piach i mech. Ich wzór przez chwilę go drażnił, potem Eschburg czołem uderzył o bruk.

Na długo zanim otworzył oczy, wiedział, że leży w szpitalu. Zdradzał to zapach środków dezynfekcyjnych, chorób i pościeli z pralni.

Sofię zobaczył jako pierwszą. Siedziała z książką przy oknie. Zdjęła buty, stopy oparła na parapecie. Pod światło jej szyja wydawała się zbyt cienka.

Eschburg nie chciał jeszcze nic mówić, tylko się jej przyglądał. W końcu Sofia odłożyła książkę na kolana i głośno wypuściła powietrze.

– Co się stało? – zapytał. Miał sucho w ustach, jego wargi były spękane.

Sofia podeszła i delikatnie pocałowała go w czoło.

– Upadłeś i straciłeś przytomność. Masz dziurę w głowie.

Spróbował się poruszyć, ale kołdra była sztywna i ciężka.

– Śpij – powiedziała. – Dostałeś leki.

Eschburg czuł jej dłoń na swoim czole, była chłodna. Potem znów zasnął.

Gdy po raz kolejny się obudził, w pokoju było ciemno. Usiadł na łóżku i po-

został tak, dopóki był pewien, że nie zrobi mu się niedobrze. Wciąż jeszcze miał na sobie wiązaną z tyłu koszulę szpitalną, ale nie leżał już pod kroplówką. Wstał i powoli poszedł do łazienki. W jego moczu była krew. Głowę miał obwiązaną bandażem, prawa połowa jego twarzy była poharatana, nad prawą brwią znajdował się plaster. Usiadł na plastikowym stołku i umył zęby. Zmęczyło go to.

Kiedy wrócił do pokoju, przy stole pod oknem siedziała kobieta. Eschburg potrzebował chwili, by rozpoznać Senję Finks. Była ubrana w ciemny damski garnitur, miała naszyjnik z pereł i okulary w rogowych oprawkach, włosy rozpuszczone. Kostium wydawał się drogi.

– Czekałam, aż pańska przyjaciółka sobie pójdzie – powiedziała.

– Wygląda pani zupełnie inaczej – odparł Eschburg.

– Wszyscy widzą jedynie to, co chcą widzieć.

Eschburg ostrożnie usiadł na brzegu łóżka.

– Nie jest pani ranna?

– Wytrzymam – odpowiedziała.

– Kim byli ci mężczyźni?

– Sprawa załatwiona – powiedziała Senja Finks.

– Co to znaczy?

Wzruszyła ramionami i milczała. Eschburg położył się na łóżku.

– Mogłaby pani zgasić światło? Razi mnie – powiedział.

Senja Finks wyłączyła lampę. Zapytała:

– Rozmawiał pan z policją?

– Nie – odpowiedział Eschburg.

– Proszę tego nie robić.

Kobieta otworzyła okno. Powietrze było świeże, pachniało deszczem.

Odwrócił głowę w jej stronę.

– Może mi pani powiedzieć, co się stało?

Wzięła z nocnej szafki zegarek Eschburga.

– Ładny zegarek. Lata sześćdziesiąte? – zapytała.

– Należał do mojego ojca – odparł.

Odłożyła zegarek z powrotem.

– Proszę mi wyjaśnić, co się stało – powiedział Eschburg.

– To długa historia. Nie chciałby pan jej znać.

– Ależ chcę – oznajmił.

Długo mu się przyglądała.

– No dobrze – odparła. – To nie byli dobrzy ludzie, rozumie pan? Ci mężczyźni szukają dziewczyn w ukraińskich wioskach i obiecują im piękne życie. Potem robią z nich prostytutki, nazywają to *ujeżdżaniem*. Dziewczyny oddawane są do dyspozycji klientów, często jest ich dziesięciu, dwudziestu, zbiorowe gwałty w dawnych halach fabrycznych. Policja zawsze reaguje za późno, wcześniej przenoszą się do innego miasta. Znają odpowiednie środowisko, klienci dużo płacą, są wszędzie, we Francji, Włoszech, w Anglii, Niemczech. Ci mężczyźni są szybcy, są zdolni do wszystkiego.

Senja Finks zamilkła i skrzywiła się. Na brzuchu jej koszula pociemniała, rana się otworzyła. Kobieta oddychała płytko.

– Kiedy dziewczyna się zużyje – mówiła Senja Finks – odcinają jej ręce i głowę i wyrzucają na śmietnik. Albo wcześniej sprzedają ją klientowi, który pejczem tłucze ją na śmierć. Mężczyźni robią nagrania i następnie je sprzedają.

– Coś takiego jest tylko w filmach – powiedział Eschburg.

– Nie – odpowiedziała – takich rzeczy nie ma w żadnym filmie.

Oboje milczeli. Eschburg zamknął oczy, bolała go głowa.

– Pytam pana – powiedziała Senja Finks – co ma zrobić dziewczyna, której udało się uciec? Jeśli ukradła mężczyznom dużo pieniędzy, jeżeli nauczyła się, jak przetrwać i jak zabić?

Wstała i podeszła dwa kroki, które dzieliły ją od łóżka Eschburga. Czuć było od niej papierosami i krwią. Pochyliła się nad nim. Jej oczy były jasnozielone, przez okulary jej źrenice przypominały pionowe szczeliny.

– Gdzie leży wina? – zapytała. Jej głos drżał.

Z bliska śmierć nie wydaje się groźna, pomyślał Eschburg.

– Nie wiem – odpowiedział.

Galeria chciała pokazać instalację najpierw w Rzymie, gdyż we Włoszech zdjęcia Eschburga zyskały największy rozgłos prasowy. Japończyk, który kupił *Mężczyzn Mai*, udostępnił zdjęcia na potrzeby wystawy. Przy Linienstraße w atelier Eschburga spakowano w drewniane skrzynie płyty z pleksi, ekrany, kable oraz komputery, firma spedycyjna zajęła się transportem.

Tydzień później Eschburg poleciał do Rzymu. Wsiadł do autobusu stojącego na płycie lotniska. Widział setki szpaków krążących wokół wieży kontrolnej. Kierowca taksówki wyjaśnił mu później, że w Rzymie wykorzystuje się sokoły, żeby przeganiały te ptaki z miasta, ale bez rezultatu.

Galeria wynajmowała pomieszczenia na pierwszym piętrze odrestaurowanego pałacu z siedemnastego wieku. W kolejnych dniach Eschburg przygotowywał tam wystawę. Na każdej z dwóch długich ścian wielkiej sali wisiało osiemnaście zdjęć. Płyty z pleksi były podświetlone od tyłu, ciała kobiet miały miękką barwę sepii. Pod frontowąścianą stał ekran, na którym wyświetlano film. Instalacja była pomyślana w taki sposób, że rzutnik najpierw wyświetlał na ekranie jedno z ujęć. Po kwadransie komputer na tym pierwszym ujęciu umieszczał następne i tworzył nowy obraz. Na to zdjęcie nakładano kolejne i co piętnaście minut jeszcze następne, aż ze wszystkich powstawała nowa fotografia. W ten sposób fotografowane przez Eschburga kobiety stapały się w jedną, nową. Jej twarz i ciało były wypadkową twarzy i ciał wszystkich modelek, ich uśrednieniem. Nieregularności, zmarszczki i niedoskonałości skóry znikaly. Fikcyjna kobieta sprawiała wrażenie młodszej niż fotomodelki, jej twarz i ciało były całkowicie symetryczne. A ona sama była naprawdę piękna.

Podczas gdy po kolei gasły wszystkie lampy podświetlające wiszące na ścianach płyty z pleksi, skóra widocznej na ekranie fikcyjnej kobiety stopniowo stawała się coraz jaśniejsza. Na koniec jedynym źródłem światła pozostał ekran plazmowy. Kobieta ze zdjęcia była wówczas niemal biała. W szybkim tempie zmieniała się w kolejne piękności z dziejów sztuki: *Wenus z Urbino* Tycjana, *Wenus z lustrem* Velázquez, *Paulinę Borghese* Canovy, *Olimpię*

Maneta, *Driadę* Picassa oraz *Grzech* Stucka. Potem znów przybierała pierwotną postać, składała ręce na plecach, klękała na podłodze, otwierała usta i zaczynała krzyczeć. Jej sylwetka stawała się niewyraźna, rozpływała się, na środku czarnego dotychczas ekranu pozostawała jedynie biała kreska. Nad nią w kolejnych językach świata ukazywało się zdanie:

Uśpioną jest dusza i morze.

Linia skurczyła się do rozmiarów kropki, zbladła, ekran zgasł. Na dziesięć sekund w galerii zapadła całkowita ciemność. Następnie wielkie zdjęcia wiszące na ścianach zaczęły delikatnie migotać, a cała sekwencja rozpoczęła się od nowa.

W popołudnie przed wernisażem Eschburg został zaproszony do talk-show, właściciel włoskiej galerii powiedział, że przydałaby się im reklama. Przed występem Eschburg palił na balkonie papierosa. Na podwórzu stały porozrywane kartony, puste donice i krzesło z połamanym oparciem.

W studiu było gorąco. Prowadzący mówił szybko, kierownik widowni dawał znak, kiedy publiczność miała klaskać. Nagle prowadzący zerwał się z miejsca, wyrzucił ręce w górę i krzyknął coś w stronę publiczności. Ta reagowała śmiechem. Właściciel galerii powiedział, że moderator otrzymał nagrodę telewizyjną za swój „ludzki i porywający” talk-show.

Eschburg spojrział na Sofię. Siedziała na widowni w pierwszym rzędzie. Ledwo mógł rozpoznać jej twarz.

Następnie w studiu zapadła cisza, publiczność wpatrywała się w Eschburga, zdawało się, że coś mu umknęło. Prowadzący usiadł obok niego, miał na sobie żółto-białą koszulę, paski na kieszonce były przesunięte o pół centymetra względem pozostałych. Eschburg zmuszał się, żeby nie patrzeć na nie. Na pozbawionych oprawek okularach mężczyzny osiadł pyłek, załamywało się w nim światło reflektorów.

Eschburg myślał o zapisku, który po ciemku sporządził poprzedniej nocy. Nie wiedział już, co napisał, ale w tamtym momencie wydawało mu się, że było to coś ważnego.

Wszyscy czekali. Eschburg uśmiechnął się, bo nie wiedział, co innego miałby zrobić. Chciał, by to się już skończyło.

Prowadzący zaczął znów mówić, klaskał w dłonie i ponownie zwrócił się w kierunku kamer. Na jednym z ekranów Eschburg zobaczył pewien obraz. Nie rozumiał, co ma wspólnego z jego instalacją. Przysłuchiwał się tłumaczce, w małej słuchawce jej głos brzmiał metalicznie: „Kiedy instalacja będzie gotowa? Kiedy będzie gotowa?”. Kobieta wciąż powtarzała to pytanie.

– Kiedy będzie taka jak powinna – odpowiedział w końcu Eschburg.

Moderator znów wykrzyczał coś do kamer, kobieta tego nie przetłumaczyła. Publiczność biła brawo.

W końcu nagranie dobiegło końca, wyłączono wielkie reflektory. Realizator dźwięku odpiął mikrofon z marynarki Eschburga, włoski na grzbiecie dłoni mężczyzny musnęły jego podbródek. Prowadzący rozdawał publiczności autografy, odwrócił się, uścisnął dłoń Eschburga i poklepał go po ramieniu. Na scenę weszła Sofia.

Kiedy Eschburg wrócił do hotelu, od razu wziął prysznic. Woda miała zapach chloru. W samym tylko ręczniku, owiniętym wokół bioder, wyszedł na wąski balkon. Na dole na placu gruby mężczyzna śmiał się, miał na sobie kolorową bluzę z napisem na całych plecach: „International Golf Team”. Jadł coś z papierowej torebki. Jego żona nie miała szyi.

Eschburg wrócił do pokoju i ubrał się. W kieszeni marynarki znalazł kartkę, na której zapisał coś poprzedniej nocy. Rozłożył ją. Kartka była pusta.

Wernisaż odbył się kolejnego wieczoru. Każda z modelek stała pod zdjęciem ze swoim wizerunkiem. Eschburg odpowiadał na pytania dziennikarzy, rozmawiał z gośćmi, kolekcjonerami, z ambasadorem i sekretarzem stanu w ministerstwie kultury.

Kiedy został sam, wyszedł na taras, żeby zapalić. Jakaś kobieta podała mu ogień, widział tylko jej rękę. Eschburg odwrócił się.

Górna warga dziewczyny układała się w idealne „M”. Kobieta miała na sobie lnianą sukienkę. Powiedziała, że przyjechała do Rzymu, żeby zobaczyć jego instalację. Barwa jej głosu była miła. Jej oczy zdawały się składać z różnych warstw, odcienie zieleni, szarości i niebieskiego nakładały się na siebie. Po tym spotkaniu Eschburg nie mógł sobie przypomnieć, jaki kolor miały jej oczy. Uśmiechnęła się do niego.

Wyciągnęła do niego rękę, nie przedstawivszy się. W pewnym momencie jej źrenice się powiększyły, zabłyśło w nich światło z sali i Eschburg dostrzegł swoje odbicie. Oprzytomniał.

– Sebastian Eschburg – powiedział. Jego twarz była blada.

Kobieta wciąż się uśmiechała, ale nie wypuściła jego dłoni ze swojej.

– Podziwiam pańską twórczość – powiedziała, zbliżyła twarz, ściszyła głos. – Chciałabym koniecznie dla pana pracować.

– Nigdy nie zatrudniam asystentów – odparł. Mówienie męczyło go. – Ale dobrze, niech zadzwoni pani do mnie, kiedy wrócę do Berlina.

Młoda kobieta przytaknęła. Wreszcie puściła jego rękę.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie będę panu dłużej przeszkadzać.

Odczekał, aż oddech się uspokoi. Przeszedł się po wystawie, zauważył Sofię stojącą z grupką dziennikarzy i skinął w jej kierunku.

Powietrze na zewnątrz było lepsze. Szedł powoli wąskimi drózkami. Przystanął przed renesansowym pałacem i oparł się o kamienny mur. Potem poszedł dalej, w dół nad Tybr, i znów w górę, na Zatybrze. Usiadł w kawiarni przy placu Santa Maria, zamówił butelkę wody i espresso. W pewnym momencie był w stanie usłyszeć głosy wszystkich ludzi siedzących w kawiarni, mówili jednocześnie i równie głośno. Wydawało mu się, jakby jakiś filtr w jego głowie przestał działać. Trwało to prawie pięć minut. O dwudziestej trzeciej zabiły dzwony kościoła Mariackiego. Ich czysty i wysoki dźwięk niósł się nad placem.

Eschburg położył pieniądze na stół i wstał. Cofnął się i chciał przejść na drugą stronę rzeki mostem Sisto, w wodzie odbijały się żółte lampki przymocowane do muru nabrzeża. Zatrzymał się na środku mostu. Nic nie widział ani nie słyszał, myślał tylko o kobiecie spotkanej na tarasie. Jego nogi się ugięły, przytrzymał się barierki. Para młodych ludzi naśmiewała się z niego, myśleli, że jest pijany. Wtedy zauważył Sofię, biegła do niego, jej twarz wydała mu się rozmyta.

– Co ci jest? – zapytała. Była zdyszana. – Wszędzie cię szukałam. Jesteś całkiem blady.

– Ja... ja przez cały czas się myliłem – powiedział cicho.

– Nic nie rozumiem – odparła Sofia. – Czy to przez tę młodą kobietę, z którą byłeś na balkonie?

– Jej skóra, dotknąłem jej skóry. Zdawało mi się, że moja czaszka jest otwarta, mój mózg stał się pomarańczowoczerwony i słony – drżał.

– Sebastianie – powiedziała – uspokój się, proszę. Chodźmy.

Nie ruszył się z miejsca.

– Te twarze i ciała... to jedynie wypadkowa... – powiedział.

– Słucham?

– Najpiękniejsza twarz to ta najbardziej przeciętna. Nic więcej. Piękno to jedynie symetria. To takie żałosne. Ja jestem żałosny.

– Ale ty nie jesteś żałosny, ty... – powiedziała.

Eschburg przerwał jej:

– ...kiedy byłem bardzo mały, poszedłem z ojcem na polowanie. Ustrzelił sarnę. Wcześniej stała na polanie, spokojna i piękna, całkiem sama. Przeciął brzuch martwego zwierzęcia, sierść, skórę i cienką warstwę tłuszczu. Słyszałem ten dźwięk. Dźwięk, kiedy ciało się otwiera. I zobaczyłem krew, Sofio, całą tę krew.

Chciała odgarnąć włosy z jego czoła, odepchnął jej rękę.

– Tego wieczoru ojciec zabił się w swoim pokoju – powiedział.

Eschburg skrzywił twarz w grymasie. Złapał Sofię za ramiona i potrząsnął nią.

– Nie rozumiesz? Myliłem się. Wszystko było kłamstwem. Piękno nie jest prawdą.

– Przestań, to boli – poprosiła Sofia. Uwolniła się z uścisku.

– Prawda jest obrzydliwa, śmierdzi krwią i kałem. Jest jak to rozplątane ciało, odstrzelona głowa mego ojca – odparł Eschburg.

– Zaczynam się ciebie bać, Sebastianie – powiedziała Sofia.

Dobrych kilka lat temu kupił we Francji kieszonkowy nóż, od tamtego czasu zawsze nosił go przy sobie. Lakier na drewnianej ręczce już dawno zmatowiał, logo producenta było niemal niewidoczne. Rozłożył go.

– Co ty tam robisz?! – krzyczała i cofnęła się o krok.

– Idź – odparł cicho – proszę, musisz natychmiast sobie pójść.

Osunął się, wsparty plecami o barierkę. Nóż rozciął głęboko wierzch jego dłoni.

– Sam się boję – powiedział.

Czerwony

O pierwszej w nocy Monika Landau wciąż siedziała przy biurku w swoim gabinecie. Miała czterdzieści jeden lat, od sześciu lat pracowała jako prokurator w Wydziale Prokuratury do spraw Ciężkich Przestępstw. Przed nią leżało zdjęcie uprowadzonej młodej kobiety. Od dobrych kilku godzin pokazywano je w telewizji oraz rozpowszechniano w internecie. Policja znalazła fotografię w mieszkaniu podejrzanego, ściany miał wytapetowane ogromnymi odbitkami tego zdjęcia. Na kopii wiszącej nad jego łóżkiem namalował palcami czerwony krzyż. W raporcie lekarza sądowego napisane było, że to *jedynie* zwierzęca krew – nikogo to jednak nie uspokoiło.

Wszystko zaczęło się od telefonu do policji sześćdziesiąt cztery godziny wcześniej. Jak każde zgłoszenie alarmowe rozmowa została nagrana. Dzwoniła kobieta, jej głos brzmiał młodo, miała szesnaście, może siedemnaście lat. Powiedziała, że się boi, leży w bagażniku auta. Mężczyzna miał ją ugryźć w głowę. Podała nazwisko podejrzanego i ulicę, przy której mieszkał. A potem powiedziała coś jeszcze, bardzo cicho, niewyraźnie. Policjantom wydawało się, że musiała szeptać, żeby porywacz jej nie usłyszał. Powiedziała: „on jest zły” lub „on jest złem”, Landau nie zrozumiała dokładnie. Następnie połączenie zostało przerwane.

Po tym telefonie patrol pojechał pod wskazany adres, rutynowe działanie. W śmietniku na podwórzu funkcjonariusze znaleźli sukienkę, była podarta i poplamiona krwią. To wystarczyło sędziemu śledczemu, żeby wydać nakaz przeszukania. Niecałą godzinę później policjanci z wydziału kryminalnego zadzwonili do drzwi podejrzanego. Mężczyzna otworzył. Zachowywał się spokojnie.

Na podłodze przy łóżku znaleźli ślady krwi. Lekarz sądowy powiedział, że krew tej samej kobiety znaleziono na sukience, która była w pojemniku na śmieci. W pudełku pod łóżkiem leżały filmy sado-maso, kajdanki, pejcze, przepaski na oczy, kneble, wibratory i kulki analne. Na kajdankach i pejczech znajdowały się fragmenty naskórka. One również należały do niezidentyfikowanej kobiety.

W szafie, w blaszanym pudełku między koszulami, był zestaw do obduk-

cji: skalpele, klamry, rozwieradła do czaszki, elektryczna piła do kości.

Kilka godzin później funkcjonariusze wiedzieli, że tego dnia, kiedy kobieta zadzwoniła na policję, podejrzany wynajął auto. Zostało zabezpieczone w wypożyczalni samochodów. W bagażniku policjanci znaleźli nieliczne ślady krwi, znów z tym samym DNA. Podejrzany przejechał tym pojazdem sto dziewięćdziesiąt kilometrów. W związku z tym helikopterami przeszukiwano teren w promieniu stu kilometrów wokół Berlina. Godzinami latali z termowizorami nad terenami leśnymi i polami wokół miasta, wszyscy jednak byli świadomi swojej bezradności – taki obszar był po prostu za duży. W akcji uczestniczyło osiem oddziałów, każdy po stu ludzi, zawieszono urlopy w całej berlińskiej policji.

W tym postępowaniu wszystko było dziwne, pomyślała Landau. Śledczy nie wiedzieli, jak nazywała się młoda kobieta, nie wiedzieli, ile miała lat, skąd pochodziła, kim była. Nie otrzymano listu od szantażysty, żadnych żądań, nie odnaleziono ciała. Podejrzany nie pasował też do schematu: był zamożny i dotąd niekarany. Bez wątpienia motyw finansowy odpadał. Niestety, pomyślała Landau, to uczyniłoby sprawę bardziej przewidywalną. Ewidentne były jedynie poszlaki. Landau założyła płaszcz i pojechała na komisariat. Jeszcze raz będą musieli przesłuchać podejrzanego.

Pokój znajdował się na trzecim piętrze, skromne pomieszczenie, cztery krzesła, biurko, żadnych obrazów, blask świetlówki. Podejrzany siedział przy oknie, prawą rękę przytwierdzoną miał kajdankami do rury grzewczej. To było trzecie przesłuchanie, wszystkiemu zaprzeczał, ale nie zażądał jeszcze adwokata. Maszynistki poszły do domu, policjant sam musiał spisać raport. Usiadł i włączył komputer.

– Na razie to tylko tymczasowe zatrzymanie – powiedział policjant do mężczyzny. – Za kilka godzin zostanie pan doprowadzony przed sąd, ten wyda nakaz aresztowania. To pańska ostatnia szansa, by się z tego wyplątać. Czy pamięta pan pouczenie? Nie musi pan teraz odpowiadać na żadne z pytań.

Prokuratorka po raz pierwszy zobaczyła podejrzanego. Skinęła w jego kierunku. Nie zareagował.

– Gdzie jest dziewczyna? – zapytał policjant.

- Nie wiem – odpowiedział mężczyzna.
- Nie musimy przecież zaczynać od początku. Wiemy, że porwał pan tę kobietę. Niech więc pan przestanie się wykręcać. Co pan z nią zrobił? Gdzie ona jest? Jak się nazywa?
- Nie wiem – powtórzył mężczyzna.
- Czy jeszcze żyje? Zamknął ją pan gdzieś? Czy ma wystarczająco dużo ubrań? Wody? Jedzenia? Czy pan w ogóle wie, jak zimno ma być tej nocy? Minus dziewięć stopni. Zamarznie, jeśli jest gdzieś na zewnątrz.
- Policjant jeszcze nic nie zapisał w komputerze. W pomieszczeniu nie było magnetofonu ani kamery.

Przesłuchanie jest skomplikowane, pomyślała Landau. Dlaczego ktoś miałby do czegoś się przyznać? Jeśli sprawca choć przez chwilę się zastanowi, dojdzie do wniosku, że jeśli to zrobi, to przegra. Człowiek przyznaje się do przestępstwa tylko wtedy, jeśli dostanie coś w zamian – może liczy na łagodniejszą karę albo wierzy w czyste sumienie, spokojny sen bez koszmarów. Czasami chodzi jedynie o akceptację ze strony funkcjonariusza, który go przesłuchuje. Landau wierzyła, że wyłącznie dzieciństwo, dobro, którego ktoś wówczas doświadczył, może w końcu doprowadzić do przyznania się. Prowadziła już wiele przesłuchań, wiedziała, jak trudno jest wyznaczyć prawdę.

Policjant powiedział mężczyźnie, że już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na siebie w lustrze, co noc będzie ukazywać mu się ta młoda kobieta, będzie prześladować go przez całe życie. Dodał, że to okropne, co tamten zrobił, ale może to jeszcze odkręcić. Każdy sędzia obejdzie się z nim łagodniej, jeśli mężczyzna zacznie mówić, jeżeli wszystko opowie i zdoła jeszcze uratować dziewczynę. Policjant przekonywał go po cichu, monotonicznie powtarzał te same zdania.

Landau wiedziała, że funkcjonariusz musi przywołać obrazy, takie, które przerażą podejrzanego. Wydawało się jednak, że to nie działa. Mężczyzna patrzył w podłogę albo przez okno i nie reagował.

Przesłuchanie trwało już ponad trzy godziny, kiedy to zdarzenie miało miejsce.

- Sam mam dwie córki – powiedział policjant – mają dwanaście i czter-

naście lat. – Głos funkcjonariusza zmienił się, stał się bardzo cichy.

Landau wzdygnęła się. Nie rozumiała, co robi policjant. Rozsądny funkcjonariusz oczywiście oddaje władzę podczas przesłuchania, musi zdobyć zaufanie przestępcy. Jeśli przeprowadzający przesłuchanie wścieknie się czy przerazi lub chociaż przez chwilę zapomni, że ten drugi jest człowiekiem, przesłuchanie spełza na niczym. Policjant może posunąć się daleko, może wiele zaryzykować. Landau była świadkiem przesłuchań, podczas których wydawało jej się, że między policjantem a sprawcą nawiązuje się coś w rodzaju przyjaźni. Jednak wtedy pomyślała, że żaden śledczy nie mówi o swoim prywatnym życiu, to zbyt niebezpieczne.

Policjant wstał, złapał za oparcie swojego krzesła i przestawił je na drugą stronę stołu. To było metalowe krzesło, walnął nim o podłogę tuż przed podejrzanym. Następnie odwrócił się na chwilę do Landau i uniósł ręce. Wyglądało to na przeprosiny, ale Landau nie wiedziała, co miało oznaczać.

Policjant usiadł. Podejrzanym podniósł głowę, spojrzał na mężczyznę. Funkcjonariusz nachylił się. Twarzy obu mężczyzn nie dzieliło nawet trzydzieści centymetrów.

– Sam tego chciałeś – powiedział policjant. – Najpierw ci to wytłumaczę. Powinieneś dokładnie rozumieć, co z tobą zrobię.

Landau pojęła, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Później często myślała o tamtej chwili. Sama zadawała sobie pytanie, czy mogła temu zapobiec. Jednak wciąż dochodziła do tego samego wniosku: nie chciała niczemu zapobiec.

– Dzisiaj – zaczął policjant – nie podłącza się elektrod do jąder, nie używa się noży ani nie spuszcza łomotu. Tak robi się tylko w Hollywood. Wszystko, czego potrzebuję, to kuchenna ścierka i wiadro z wodą. Pójdzie to sprawnie. Jesteśmy tu sami, ty świnio, pozostali są gdzieś tam i szukają dziewczyny. Po wszystkim nikt nie uwierzy w to, co się stało. Nie będziesz miał żadnych obrażeń, blizn, nie będziesz krwawił, wszystko dokona się w twoim mózgu. Oczywiście zadzwonisz później po lekarza, ale on nic nie stwierdzi. Moje słowo przeciw twojemu. Nie musisz się nawet zastanawiać, komu uwierzy sędzia. Jesteś gwałticielem i teraz za to zapłacisz. Tego, co ci zrobię, nikt nie wytrzyma dłużej niż trzydzieści sekund, większość daje za wygraną już po trzech, czterech sekundach. Będziesz...

W tym momencie Landau drgnęła. Wstała. Bez słowa opuściła pokój. Jasno oświetlonym korytarzem poszła do toalety. Zamknęła za sobą drzwi

i oparła się o nie. Czuć było zapach chloru i mydła w płynie. Kiedy się uspokoiła, położyła torebkę na półce i przemyła twarz, pochyliła się nad umywalką tak, by zimna woda leciała na jej kark. Złożyła papierowy ręcznik, zmoczyła go i przyłożyła do oczu. Następnie podeszła do okna i otworzyła je.

– Przysięgam sprawować mój urząd dla dobra ogółu z poszanowaniem ustawy zasadniczej Republiki Federalnej Niemiec oraz Konstytucji Berlina, zgodnie z ustawami, a moje obowiązki urzędowe wykonywać sumiennie. Tak mi dopomóż Bóg. – Złożyła tę przysięgę dwanaście lat temu. Nadal znała ją na pamięć. „Tak mi dopomóż Bóg”, większość młodszych prokuratorów pomijała to zdanie, ustawa pozostawia tu każdemu swobodę. Ona jednak to zdanie wypowiedziała, jeszcze ją miała w sobie, ową dziecinną wiarę w dobrotliwego, zaprowadzającego porządek Boga.

Wyjrzała na dziedziniec starego budynku. Było tam ciemno, tylko w kilku pokojach paliło się światło. Wzięła głęboki wdech, powietrze było tak zimne, że rozdzierało płuca. Zamknęła okno, usiadła na kaloryferze, zdjęła but i rozmasowała sobie stopę. Nie spała od dwudziestu sześciu godzin.

Myślała o postępowaniu, które prowadziła cztery lata temu. Zazdrosny mąż wylał na klatkę piersiową swojej żony wrzące mleko, chciał ją ukarać. Landau wniosła akt oskarżenia mężczyzny, ale podczas procesu kobieta popełniła samobójstwo. Po tym zdarzeniu Landau chciała zrezygnować. Jednakże od naczelnika wydziału usłyszała zdanie, które było straszne, ale i dodające otuchy, i które od tamtej pory codziennie jej towarzyszyło: „Nie zwyciężamy, nie przegrywamy, wykonujemy naszą pracę”.

Nagle Landau poderwała się z miejsca, raptem oprzytomniała i zaczęła trzeźwo myśleć. Wypadła z łazienki, biegła w dół korytarza i pchnięciem otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań. Pozostawiła policjanta i podejrzanego samych przez dwadzieścia cztery minuty.

Po tym zdarzeniu Landau i funkcjonariusz siedzieli w jasno oświetlonej kantine. Mężczyzna był jednym z najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy berlińskiej policji, piętnaście lat starszy od prokuratorki. Znała go, odkąd zaczęła pracę w Wydziale do spraw Ciężkich Przestępstw. Wiedziała, że jest rozsądny i prawy, nigdy nie użył broni, miał nienaganną opinię. Zapytała, dlaczego tamto zrobił. Policjant milczał. Zdarł z butelki etykietkę, przykleił ją do stołu i wygładził ręką. Wpatrywał się w etykietkę, ale nic nie powie-

dział.

W końcu zaczął mówić. Opowiedział o innym przypadku porwania, to wydarzyło się osiemnaście lat temu.

– Wciąż jeszcze pamiętam każdy szczegół – powiedział policjant, nie patrząc na Landau. – Pamiętam złoty łańcuszek na nadgarstku mężczyzny, wiszący guzik jego koszuli, wąskie usta i sposób, w jaki uderzał palcami w stół. Po dwóch dniach był gotowy nam powiedzieć, wtedy pokazał nam miejsce w lesie. Siedziałem obok niego, kiedy tam jechaliśmy. Śmierdział brudem, kaszłał, a w kącikach jego ust zbierała się ślina. Śmiał się szyderczo, ale ja mimo to musiałem być uprzejmy. „Na dwanaście dni przed Bożym Narodzeniem”, to zdanie wciąż chodziło mi po głowie podczas jazdy. Było prawie tak zimno jak dzisiaj. Kiedy dotarliśmy na miejsce, jeden z kolegów zauważył rurę wentylacyjną i zaczął biec. Biegając, ściągnął kurtkę. Odgarnął liście z rury, krzyczał, że wszystko będzie dobrze. Rzuciliśmy się do tej rury i klęcząc, jak oszaleli kopaliśmy w śniegu i zmarzniętej ziemi. Jeden z kolegów wyłamał pokrywę skrzyni. Na drewnianym wieku zauważyłem ślady paznokci małego chłopca. Na lewym przedramieniu dziecko miało czerwoną nalepkę, jakieś zwierzę, słonia czy nosorożca albo coś innego. Obrazek był postrzępiony i niewyraźny, wyglądał zupełnie nierealnie na sinobladej skórze.

Policjant podniósł głowę i spojrzał na Landau.

– Wie pani, to przez ten cholerny obrazek. Nie mogę się od tego uwolnić. Rozumie pani? Ja nie potrafię się od tego uwolnić.

Tego samego dnia po południu prokuratorka sporządziła w swoim gabinecie notatkę. To nie był długi tekst: dwanaście wierszy. Przeczytała ją jeszcze dwa razy, podpisała i dołączyła kartkę do akt. Następnie poszła do sekretariatu sądowego i poprosiła, by przefaksować notatkę do funkcjonariusza prowadzącego przesłuchanie.

– Jakiej sprawy to dotyczy? – zapytała sekretarka.

– To ten nowy proces, akta leżą w moim gabinecie – odpowiedziała Landau. – Oskarżony nazywa się Sebastian von Eschburg.

Niebieski

Konrad Biegler stał na tarasie hotelu Zirmerhof i był w kiepskim nastroju. Słuchał przewodnika. Mężczyzna wyglądał tak, jak Biegler wyobrażał sobie górskiego przewodnika: był ogorzały, wysoki, krzepki. Na pewno pachnie od niego mydłem, pomyślał Biegler. Przewodnik miał mocny głos, brzmiący przyjemnie, mówił z lekkim włoskim akcentem. Powiedział, że taras hotelu leży na wysokości blisko tysiąca sześciuset metrów, panorama miała być wyjątkowa, blisko sto górskich wierzchołków, które sprawiają, że serce bije mocniej. Tam na górze znajdują się rzekomo wspaniałe hale i idylliczne górskie jeziora.

Mężczyzna mówił jeszcze wiele podobnych rzeczy. Miał na sobie czerwoną poliestrową kurtkę z kapturem i naszytym lisem na piersi. Odzież termoaktywna, pomyślał Biegler. Przewodnik wymienił nazwy łańcuchów górskich: Dolomity Brenty, masyw Ortleru, Alpy Ötztalskie, Sztubaje. Biegler był przekonany, że mężczyzna wszystkie je zdobył.

Pewna kobieta z małym plecakiem powiedziała cicho, że Zirmerhof znajduje się na tej samej wysokości co szczyt Śnieżki. Jej oczy błyszczały, gdy spoglądała na przewodnika. „Tyle że tu nie ma śniegu”, dodał Biegler i zapiął guziki płaszcza.

Biegler od trzydziestu jeden lat pracował w Berlinie jako adwokat. Miał alergię na trawę, siano, psy, koty i konie. Zastanawiał się, czy nie powinien być czegoś powiedzieć. Na przykład: „Niemcy stawiają naturę ponad człowiekiem”. Jednak nie odezwał się. Nic go to nie obchodziło. Nie zamieszka przecież na tej górze, kiedyś w końcu będzie mógł stąd wyjechać i wrócić do Berlina. Właściwym otoczeniem dla człowieka jest miasto, pomyślał. Biegler wziął się w garść. Lekarz powiedział mu, by się odprężył.

Cztery tygodnie wcześniej po jednej z rozpraw Biegler po prostu przewrócił się na korytarzu sądu w Moabcie. Uderzył czołem o kamienną balustradę i upadł na podłogę. Lekarz wysłał go do kliniki. Razem z pozostałymi pa-

cientami z syndromem wypalenia zawodowego siedzieli w kółku, rzucali sobie kolorowe kłęбки wełny, po południu mieli wycinać figurki z papieru. Po dwóch dniach Biegler wypisał się na własne żądanie.

Lekarz nalegał, by w takim razie „wyjechał przynajmniej w góry”, najlepiej w Tyrol Południowy. Mężczyzna przeczytał mu fragment z prospektu o tym, że w Zirmerhof ciszy nie rozumie się jedynie jako „brak hałasu”, lecz „wewnętrzna jakość”, „nastawienie życiowe”. Lekarz powiedział mu, że wiele osób dochodziło do sił w tym górskim hotelu: Heisenberg, Planck, Feltrinelli, Trott zu Solz, Siemens, mnóstwo pisarzy i artystów. Eugen Roth miał nawet napisać o tym miejscu wiersz. Biegler zarezerwował pokój.

Goście hotelowi opuszczali taras w towarzystwie przewodnika górskiego. Biegler wstał i rozprostował plecy. Wszystkie krzesła w Zirmerhof były niewygodne i zastanawiał się, czy nie kryje się za tym jakiś plan. Pozostali goście – większość z nich była piechurami – uważali siadanie na filcowych podkładkach za przejaw wygodnictwa. Biegler zawsze brał dwie.

Wyciągnął książkę z kieszeni płaszcza. Lekarz nie zabronił czytania. Biegler otworzył ją. Był tam już cztery dni, ale wciąż nie potrafił się skoncentrować. Książka nosiła tytuł *Pozytywne myślenie dla menedżerów*. Jego sekretarka podarowała mu ją na pożegnanie, powiedziała, że ta lektura dobrze mu zrobi. Stopniowo Biegler stał się posiadaczem mnóstwa takich książek: *Odczuwanie, myślenie i działanie w harmonii z wszechświatem*, *Siła dobrych uczuć*, *Życ bardziej świadomie*. *Trzydzieści kart motywacyjnych oraz materiały online*, *Stań się sympatyczny w siedmiu krokach* i w końcu ulubionego tytułu: *Pozytywne myślenie – jak odnosić sukcesy w spacerowaniu*. *Przez trening umysłowy do osobistego zwycięstwa*. Sekretarka, od której dostał jedną z tych książek, przeszła już na emeryturę, a tę nową widział dopiero raz.

Również żona Bieglera, Elly, była bezradna wobec jego złego nastroju. Pobrali się przed dwudziestu ośmiu laty. Elly wydawało się, że zrzędlivość Bieglera bierze się z jego pracy, wynika z procesów o morderstwo, w których był obrońcą. A jednak nie. Biegler po prostu uważał „pozytywne myślenie” za głupie. W swojej kancelarii próbował zabraniać go młodym adwokatom. Ludzi w dobrym nastroju miał za niepoważnych albo podstępnych.

Miejscowy rolnik kosił trawę niedaleko tarasu. Traktor był piękny, ale miał uszkodzony układ wydechowy. Bieglerowi wydawało się, że z rol-

nikiem też jest coś nie tak – co dzień kosił ten sam kawałek łąki. Sprawdził, jak to jest z tym pozytywnym myśleniem, i uprzejmie przywitał się z mężczyzną. Ten wbił w niego wzrok. Biegler pokiwał z zadowoleniem głową.

Przeszedł się kawałek. Wokół hotelu stało ponad pięćdziesiąt ławek z mdrzewiowych desek. Każdy z hotelu Zirmerhof mógł te ławki kupić i zlecić lokalnemu stolarzowi, by wyciął na nich nazwisko gościa. Biegler wypróbował każdą po kolei. Zostały poustawiane w taki sposób, że był zmuszony przyglądać się „idyllicznym widokom”: górcom, łąkom, drzewom, polnym ścieżkom, gązdom. Z każdą ławką nastrój Bieglera pogarszał się.

Nie chciał rozczarować Elly. Poszedł do swojego pokoju, który był wielkości stołu konferencyjnego w jego kancelarii. Przez chwilę myślał, żeby jednak zawołać kierownika. Mógłby mu powiedzieć, że jeśli cela więźnia jest mniejsza niż dwanaście metrów kwadratowych, to w orzecznictwie mowa o „pogardzie dla ludzkiej godności”. Nie zrobił tego, miał przecież wypocząć. Elly kupiła mu buty do pieszych wędrówek, miały czerwoną podeszwę. Biegler pokręcił głową i włożył je.

Za hotelem znajdowała się wąska dróżka prowadząca do lasu. Ściółka pachniała stęchlizną, na pniach siedziały małe stworzonka, gotowe na niego skoczyć. Pocił się. Na wielkiej polanie stały krowy, były własnością hotelu. Właściciel powiedział, że są łagodne. Bieger nie uwierzył w to i trzymał się od nich z daleka. Krowy miały zawieszony wokół szyj ogromne dzwonki, od których były pewnie głuche. Przyglądał się im tak długo, dopóki nie przekonał się, że nie mają żadnej świadomości.

Biegler odwrócił się i wrócił do hotelu. Wziął prysznic i położył się na łóżku. Dwadzieścia minut później pod jego oknami rozpoczęły się prace budowlane, remont okazałych zewnętrznych schodów. Robotnicy słuchali radia. Otworzył okno i zapalił cygaretkę. Do drzwi zapukała pokojówka i oświadczyła, że palenie jest zabronione, dodała, że dym czuć nawet na korytarzu.

Dwie godziny później krowi dzwonek ogłosił kolację.

W jadalni przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna w krótkich skórzanych spodniach. Zachowywał się niespokojnie. Miał psa o pożółkłej sierści,

którego nazywał Wilk. Włosy jego żony były krótkie, jej twarz nalana, a policzki obwisłe. Kiedy Biegler spostrzegł, że mężczyzna nosi w spodniach wielki nóż z trzonkiem z rogu jelenia, poprosił o inne miejsce.

Został posadzony przy stoliku pary nauczycieli ze Stuttgartu. Małżonkowie rozmawiali o pieszej wycieczce, na której byli tego dnia, zwracali się do siebie pieśczośliwie. Biegler milczał. Podano „pieczone kluseczki serowe w maśle pomidorowym”. Kelnerka posypała je parmezanem. Biegler nie był pewien, czy może to zjeść.

Nauczyciel zapytał Bieglera, czy on również był na wycieczce.

– Tak – odparł Biegler.

– Musi się pan koniecznie wybrać na Weißhorn. Wspaniały widok – powiedziała kobieta, nazywana przez męża Skarbenko.

– Tak – powiedział Biegler jeszcze raz. Tłuszcz z klusek skapnął na jego koszulę.

– Albo niech pan przejdzie przez wąwóz Blatterbach. Został uznany przez UNESCO za światowe dziedzictwo przyrodnicze. Może pan tam zobaczyć warstwy skalne, które powstały miliony lat temu, są fantastyczne.

Biegler nie odpowiedział na to nic, ale Skarbenko nie poddawała się:

– Pan nie jest tu zbyt długo, prawda?

– Cztery dni – odpowiedział Biegler. Poprosił kelnerkę o chleb, suchy chleb.

– W recepcji może pan dostać mapę turystyczną – powiedział mężczyzna.
– Przyda się podczas pierwszej wyprawy.

– Dziękuję – powiedział Biegler.

– Co więc pan dotychczas zobaczył? – zapytała Skarbenko.

– Cmentarz we wsi. Podobają mi się zdjęcia zmarłych na emaliowanych tabliczkach, wydają się na nich jak żywi – powiedział Biegler.

– Ach tak? – Skarbenko wydała się zaniepokojona. – Może chciałby pan do nas dołączyć? Jutro schodzimy na przełęcz.

Uśmiechnęła się do niego. Była nieumalowana i miała zdrową różową cerę.

– Nie – odpowiedział Biegler.

– Więc nie chce pan udać się na wyprawę? – zapytał nauczyciel. Jego okulary zaparowały od jedzenia.

– Nie.

Wpatrywali się w niego obydwój. W takich momentach Elly ratowała sy-

tuację. Ale Elly nie było. Biegler odłożył sztucce na bok.

– Dlaczego lubią państwo naturę? – zapytał.

– Cóż za pytanie! – odparł nauczyciel i zaśmiał się. – Każdy ją kocha.

– Ja nie – powiedział Biegler. – Poza tym to nie jest odpowiedź na pytanie.

– Dlaczego kocham naturę... – powtórzył nauczyciel.

– ...Potrzebujemy jej, ale ona nie potrzebuje nas – odparła Skarbenko. Powiedziała to surowo.

– Zabrzmiało to jak hasło z naklejki na samochód – skwitował Biegler.

– Chwileczkę... skądś pana znam – powiedział nauczyciel. Oprzytomniał.

– Już wiem, widziałem pana w telewizji. Bronił pan tego mordercę z Kolonii, który zabił całą rodzinę.

– Nie – skłamał Biegler. Nie miał ochoty, by rozmowa potoczyła się w tym kierunku. – Wciąż nie rozumiem, dlaczego lubią państwo naturę.

– Piesze wędrówki są przyjemne i odprężające – odpowiedziała kobieta zwana Skarbenkiem. – I...

– ...i natura jest dużo mądrzejsza niż my – dodał nauczyciel.

– Bzdura – powiedział Biegler. – Niech państwo pomyślą o węgorzach.

– O węgorzach? – zapytała Skarbenko. Kobieta skrzywiła się. Zdawało się, że nie lubi węgorzy.

– Węgorze są idealnym przykładem, żeby zrozumieć naturę – powiedział Biegler. – Wygląda to tak: każdy węgorz, którego zobaczą państwo gdzieś w Europie, urodził się w Atlantyku niedaleko wysp Bahama, w Morzu Sargassowym. Stamtąd larwy płyną do Europy. Potrzebują mniej więcej trzech lat. Rozumieją państwo? Przez trzy lata nie robią nic innego, jak tylko płyną przez morze. Kiedy docierają do brzegu, są już większe, płyną w górę rzek, pełzną przez podmokłe łąki, a na koniec dwadzieścia lat spędzają w jakimś zbiorniku wodnym. To byłoby już wystarczającym szaleństwem. Ale sprawa robi się odrażająca, bo węgorz przestaje żreć. I zmienia się: jego oczy stają się większe, żołądek i odbytnica zanikają, a w zwierzęciu wykształcają się wielkie organy płciowe. Proszę mi wierzyć, są naprawdę ogromne, wypełniają węgorza, można by nawet powiedzieć, że cały węgorz jest jednym organem płciowym. I co robi?

Para nauczycieli gapiła się na Bieglera.

– Musi wracać – ciągnął Biegler. – Pięć tysięcy kilometrów przez łąki, rzeki i akweny morskie z powrotem, do Morza Sargassowego. W końcu dociera, na wpół żywy z wycieńczenia. Pozostałe węgorze już tam są. Zanurza się na

pół kilometra, jedyny raz w życiu uprawia seks, po ciemku oczywiście, i zdycha. – Biegler odsunął swój talerz na bok. Odczekał chwilę.

– Chcę państwu jedynie powiedzieć, że nie wydaje mi się, by natura miała wobec węgorzy jakiś rozsądny plan. Jestem nawet całkiem pewien, że natura nigdy nie miała żadnego planu. Natura nie myśli, jest wroga, w najlepszym wypadku obojętna. Żeby więc odpowiedzieć na państwa pytanie: dziękuję za zaproszenie, ale w żadnym razie nie będę się wspinał na jakieś góry i nie będę oglądał warstw skalnych, które powstały miliony lat temu.

Biegler wstał, skinął nauczycielom na pożegnanie i poszedł do swojego pokoju.

Na zewnątrz było jeszcze widno. Łąka rozciągająca się przed oknem schodziła stromo w dół, aż do stawu w zagłębieniu terenu. Jakaś kaczka niespiesznie pływała po nim w kółko, woda była czarna. Słyszał komara latającego za jego uchem, zamknął okno i przytrzasnął sobie przy tym kciuk.

W malutkim pokoju szybko zrobiło się duszno, z łazienki pachniało środkami czyszczącymi. Rozejrzał się za komarem, nie znalazł go, wziął prysznic, włożył piżamę i położył się do łóżka. W prospekcie hotelu przeczytał, że gościom oferowana jest „kąpiel w sianie z górskiego pastwiska”, dodająca „rześkości i dobrego samopoczucia”. Biegler pomyślał o swojej alergii na siano. Zastanowił się, czy Elly uwierzyłaby mu, jeśli oświadczyłby, że ma też alergię na górskie powietrze.

Biegler zamknął oczy. Wyobraził sobie siebie z mężczyzną w skórzanych spodniach, kobietą z nalaną twarzą i parą nauczycieli, podskakującego nago w porannej rosie na świeżo skoszonej łące. Potem zasnął.

Obudził go silnik samochodu dostawczego. Na noc Biegler otworzył okno, teraz w pokoju śmierdziało dieslem. Spojrzał na zegar, było tuż przed szóstą. Próbował znów zasnąć. Kilka minut później kościelne dzwony ogłosiły poranną mszę. Biegler jęknął i usiadł. Zdjął płaszcz z wieszaka, zarzucił go na piżamę i w kapciach wyszedł na zewnątrz.

Było chłodno. Zapalił cygaretkę. O tej porze Elly siedzi już w ogrodzie zimowym i je śniadanie. O ósmej pójdzie do przychodni. Zadzwoił do niej.

– Nudzi mi się tutaj – powiedział.

– W ogóle ci się tam nie podoba?

– To czarodziejska góra dla nauczycieli dyplomowanych.

– Chodziłeś na spacer?

– Każdego dnia. Jestem zupełnie wypoczęty. Mógłbym właściwie wracać.

– Powinieneś jednak zostać, Biegler – odparła. Powiedziała to łagodnie. Elly zawsze mówiła do niego „Biegler”.

– Wiesz, jedzenie jest tu okropne. Wciąż boli mnie żołądek – powiedział Biegler.

– Jeszcze przynajmniej trzy tygodnie – powiedziała.

Znał to, potrafiła być stanowcza w swojej łagodności. Zaciągnął się cygaretką i musiał odkaszląć.

– I powinieneś też mniej palić.

Pożegnali się. Biegler wsadził telefon do kieszeni płaszcza. Chętnie siedziałby teraz w kawiarni przy placu Savigny. Myślał, jak by to było, gdyby czytał tam gazetę, jadł rogalika i przyglądał się ludziom na ulicy.

W ostatnim czasie Elly często mówiła o podróży dookoła świata. Podobał mu się pomysł odwiedzania innych krajów, ale gdy tylko docierał na miejsce, czuł się okropnie. Za każdym razem przyczyną było coś innego: łóżko, jego żołądek, upał, insekty, środki transportu. Wzbraniał się, by wejść do morza, był zdania, że miejsce człowieka jest na lądzie.

Biegler zaciągnął się kilka razy. Przestraszył się nagle, że nie wróci więcej na salę rozpraw. Zgasił cygaretkę w popielniczce, do której nocą napadało. Po śniadaniu – Biegler pił właśnie na tarasie drugą kawę – zadzwonił jego te-

lefon. Nie zwrócił na to uwagi, bo nie rozpoznał dźwięku dzwonka. Zorientował się dopiero, gdy pozostali goście zaczęli mu się przyglądać, a pewien mężczyzna uniósł brwi. Dzwoniła jego sekretarka. Zatrudnił ją kierownik biura Bieglera, powiedział, że jest bardzo sumienna. Biegler widział ją tylko przez chwilę pierwszego dnia jej pracy, potem trafił do szpitala. Była młoda, ładna i inteligentna.

– Dzień dobry panie Biegler – powiedziała. – Jak mija pański urlop?

Głos też miała przyjemny, pomyślał Biegler. Ktoś się w niej zakocha i się z nią ożeni, ona zajdzie w ciążę, a ja będę musiał za to wszystko płacić.

– Mgliście – odpowiedział.

– Wypoczywa pan? – zapytała.

– Nikt nie odpoczywa na wakacjach – odparł Biegler. – Dlaczego pani dzwoni?

– Chwileczkę, już łączę.

Zgłosił się jeden z młodszych w kancelarii adwokatów.

– Proszę wybaczyć, panie Biegler, że pana niepokoiimy. Nie możemy jednak podjąć decyzji bez pana.

– Jakiej decyzji? – zapytał Biegler.

– Dziś rano otrzymaliśmy telefon z aresztu. Jeden z osadzonych chce, by podjął się pan jego obrony. Jego partnerka już tu była, o pieniądze nie musimy się martwić.

– Co mu się zarzuca?

– Zabił kobietę. To ta głośna sprawa, w prasie piszą o niej niemal codziennie. To było jakieś pięć miesięcy temu.

– Miał – powiedział Biegler.

– Słucham?

– *Miał* zabić kobietę. Dopóki nie został skazany: *miał*. Do diabła, czego wy się w ogóle uczycie?

– Proszę mi wybaczyć.

– Czy jest już oskarżony?

– Od miesiąca. Sąd z udziałem przysięgłych chce ustalić terminy rozpraw głównych.

– Która izba?

– Czternasta.

– Prokurator?

– Monika Landau.

- Hm, kto to?
 - Od sześciu lat jest w Wydziale do spraw Ciężkich Przestępstw. Pracowała w wydziale zajmującym się środkami odurzającymi, a wcześniej w tym od rozbojów. Ma opinię sprawiedliwej. Ale jeszcze nie prowadziliśmy procesu z jej udziałem.
 - Taka wysoka, ciemnowłosa, lekko po czterdziestce?
 - Tak, dokładnie.
 - Przypominam ją sobie – powiedział Biegler. – Kto sporządza opinię psychiatryczną?
 - Jeszcze nikt. Klient odmówił poddania się badaniom.
 - Brzmi ciekawie – powiedział Biegler – ale mi nie wolno stąd wyjechać.
 - Tak też myśleliśmy. Jednak później znaleźliśmy w aktach tę notatkę i postanowiliśmy do pana zadzwonić.
 - Jaką notatkę?
 - Klient miał do tej pory obrońcę z urzędu. Nie wiemy, czy ten widział tę wzmiankę, czy nie. W każdym razie jeszcze nic nie przedostało się do prasy.
 - Pytam jeszcze raz: co to za notatka?
- W tym momencie obok tarasu ryczącym traktorem przejechał rolnik. Biegler przycisnął telefon do ucha, żeby zrozumieć adwokata. Krzyczał do niego, żeby mówił głośniej. Potem powiedział: „Proszę mi tej notatki tu nie faksować, to zbyt ryzykowne. Wyjeżdżam zaraz i dziś wieczorem będę w hotelu Bayerischer Hof w Monachium, niech mi ją pan tam wyśle kurierem. Niech wniesie pan o zbadanie podstaw aresztowania. A następnie proszę w biurze znaleźć kogoś, kto pojutrze przedstawi mi stan faktyczny. Powinienem być w kancelarii około czternastej”.
- Wszystkim się zajmę.
 - Odezwę się – powiedział Biegler i rozłączył się bez pożegnania.

Właściciel hotelu policzył Bieglerowi za wszystkie dni, które mężczyzna zarezerwował. Kranówka została nazwana na rachunku „wodą Zirmerhof” i kosztowała dwa euro za dzbanek. Biegler się wściekł, zacytował fragmenty o gospodarzach z zapisków z podróży Montaigne’a, powiedział, że już wtedy uchodzili za zdzierców.

Był zadowolony, kiedy usiadł w swoim samochodzie. Zatrzymał się w połowie drogi, wiodącej do doliny. Wysiadł i żwirową ścieżką przeszedł

przez sady jabłoniowe. Po jakimś czasie zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię. Zerwał jabłko z gałęzi i zjadł je, przetarł kark chusteczką. Po dwóch godzinach chodzenie go zmęczyło, przysiadł na kamieniu. Było bezwietrznie, jego buty pokryły się kurzem. Biegler całkowicie się uspokoił. Myślał o sześćdziesiątych urodzinach, które obchodził rok wcześniej. Jeden ze znajomych podarował mu rurę ze stali, powiedział, że może przetrzymać nawet wojnę atomową.

„Proszę włożyć do środka rzeczy, które mają przetrwać dłużej niż wy, i zakopcie ją w swoim ogrodzie”. Rura przez tydzień leżała na biurku Bieglera, potem ją wyrzucił.

Jadąc przez przełęcz Brenner, słuchał jazzu. Bill Evans, *Explorations*, Dave Brubeck, *Time Out*, Herbie Hancock, *The New Standard*. Kiedy miał siedemnaście lat, chciał zostać muzykiem. Występował wtedy w klubach, grał na trąbce. Ludziom podobał się jego dźwięczny, miękki ton. Jednak wtedy usłyszał Alberta Mangelsdorffa grającego na wielkim puzonie. Mangelsdorff równocześnie dmuchał i śpiewał w ustnik. Biegler natychmiast uświadomił sobie, że już nigdy więcej nie będzie grał.

Odwlekał telefon do Elly, aż przekroczył granicę włosko-austriacką. Oczywiście zwymyślała go. „Zupełnie zwariowałeś, Biegler”, powiedziała.

Trzy godziny później Biegler zaparkował pod hotelem Bayerischer Hof w Monachium. „Cywilizacja”, powiedział, mając na myśli *room service*. Dał portierowi suty napiwek.

Choć Biegler na ogół brał tylko prysznic, leżał w wannie blisko godzinę. Nadal miał na sobie szlafrok, kiedy kelner z obsługi hotelowej przyniósł mu do pokoju kopertę. Biegler znalazł okulary, usiadł przy biurku i przeczytał notatkę. Położył się na sofie. Wiedział, że jest chory, ale musi wrócić. Posunęli się za daleko, pomyślał.

Dwa dni później, już w Berlinie, Biegler wstał o szóstej rano. W nocy czytał akta i niewiele spał. Mimo to czuł się rześki i wypoczęty. Zjadł śniadanie z Elly.

– W zeszłym tygodniu był tu dendrolog – powiedziała Elly zza gazety.
– Kto tu był?
– Dendrolog. Jeśli chcesz ściąć drzewo, musi zezwolić na to dendrolog.
– O Boże – odparł Biegler.
– Powiedział, że drzewo jest całkowicie zdrowe. Nie wolno ci go ściąć – oznajmiła Elly.

Drzewo stało naprzeciw ogrodu zimowego, w którym co rano jedli śniadanie. Rzuciło cię do środka.

– Czy to oznacza, że mam nadal żyć w mroku?
– Mniej więcej – odparła Elly.
– Niemcy są naprawdę szaleni – oświadczył Biegler. – Zatruję to drzewo. Ołowiem. Jak to właściwie trzeba by zrobić?

Elly nie odpowiedziała.

– Mógłbym zadzwonić do jednego z moich klientów, który strzeli do drzewa – powiedział Biegler.

– Przestań gderać – odparła Elly.

Przed dwoma latami Elly wysłała go do psychoanalityka. Powiedziała, że robi się coraz bardziej nieznośny. Poszedł tam, podczas ośmiu spotkań słuchał oddechu mężczyzny. Każda godzina kosztowała go osiemdziesiąt pięć euro. Biegler rzecz jasna nie odzywał się ani słowem. Uważał, że rozmyślanie o sobie jest nudne. Zarzucił wizyty po tym, jak wydał sześćset osiemdziesiąt euro. Nie miał odwagi powiedzieć tego Elly i od tej pory żył w strachu, że ona się o wszystkim dowie. Kupił *Dzieła zebrane* Nietzschego, czasami go cytował. Miał nadzieję, że dzięki temu upiecze mu się.

– W gazecie piszą, że wzięłeś sprawę tego artysty – powiedziała Elly.
– Może tak będzie.
– Piszą, że prawdopodobnie on to zrobił.
– W przeciwnym razie nie informowaliby o tym.

Elly zaproponowała, by zaniósł kwiaty nowej sekretarce, on jednak odmówił.

– Kwiaty to otwarte narządy płciowe, nie będę czegoś takiego dawał, a już na pewno nie młodej kobiecie – oświadczył.

O ósmej pojechał do zakładu karnego w Moabie. W biurze ewidencji okazał pełnomocnictwo od Eschburga i poprosił o rozmowę z klientem. Funkcjonariuszka zadzwoniła, potem zapytała Bieglera, czy wypoczął na urlopie. Biegler nie odpowiedział.

Policjantka powiedziała, że Eschburg to obecnie najbardziej prominentny więzień. Dodała, że jest spokojny, przeważnie leży na łóżku w celi, jest uprzejmy w stosunku do strażników i współwięźniów. Ponoć zrezygnował ze spacerniaka. Powiedziała, że na nic się dotychczas nie skarżył ani nie domagał specjalnego traktowania.

– Brzmi to sympatycznie – powiedział Biegler.

– Jest w nim coś dziwnego – oznajmiła funkcjonariuszka.

– Co? – zapytał Biegler.

– Sama nie wiem – odparła. – To tylko takie wrażenie.

– Wrażenie, mówi pani – odrzekł Biegler. Funkcjonariuszka przytaknęła.

Eschburg przyszedł kilka minut później. Biegler zaprowadził go do jednej z sal widzeń.

– Pali pan? – spytał Biegler.

– Rzuciłem tutaj – odparł Eschburg.

Biegler schował cygaretki.

– Tak czy owak, palenie jest w salach widzeń zabronione. Poprosił pan, żebym podjął się pańskiej obrony.

– Tak.

– Ma pan już obrońcę z urzędu.

– Ale teraz potrzebuję pana – odparł Eschburg.

– Dlaczego?

– Każdy tam na zewnątrz ma mnie za mordercę.

– No tak, przecież przyznał się pan – odparł Biegler.

– Tak.

– Podpisał się pan pod tym.

– Tak, ale to zostało wymuszone.
– Chce pan przez to powiedzieć, że to nieprawda? – zapytał Biegler.
– Chciałbym, żeby bronił mnie pan tak, jak gdybym nie był mordercą.
– *Jak gdyby nie był* pan mordercą? Czy dobrze rozumiem? Jest nim pan czy nie? – spytał Biegler.

– Czy to ważne?

To było dobre pytanie. Biegler jeszcze nigdy nie usłyszał go od swojego klienta. Takie pytania zadają dziennikarze, studenci lub aplikanci.

– Dla obrony nie jest to ważne, jeśli o to panu chodzi – odparł Biegler.

– A dla pana osobiście?

– W trakcie obrony chodzi tylko o nią.

– To jest powód, dla którego chcę, żeby był pan moim adwokatem. Nie wszyscy mają takie nastawienie. – Eschburg wydawał się spokojny. – Czytał pan akta? – zapytał.

– Tak, zapoznałem się – powiedział Biegler.

– W jaki sposób broniłby mnie pan?

Biegler spojrzał na Eschburga.

– Jest sześć linii obrony, jeśli wnosi się o uniewinnienie od zarzutu morderstwa. Po pierwsze: zabójstwo było uzasadnione, to zdarza się rzadko. Po drugie: to była obrona konieczna. Po trzecie: to był wypadek. Po czwarte: nie wiedział pan, co robi, lub nie mógł pan rozpoznać bezprawności swojego działania. Po piąte: to nie pan, lecz ktoś inny to zrobił. Oraz po szóste, również bardzo rzadkie: nie było żadnego morderstwa. Zastanówmy się. Obronę konieczną, wypadek i niepoczytalność możemy na razie pominąć. Zaczniemy od innych potencjalnych sprawców. Kto, jeśli nie pan, mógłby nim być?

Eschburg zastanowił się przez chwilę.

– Nikt.

– Nie ma pan sąsiadów? – zapytał Biegler.

– Mam, kobietę. Senję Finks – odpowiedział Eschburg.

– Kto to jest?

Eschburg opowiedział to, co o niej wiedział, również o ataku nożem i obrażeniach, jakie odniosła.

– Dobrze – odparł Biegler. Wszystko zapisał w notatniku. – Można się nad tym zastanowić. Przejdźmy do ostatniej linii obrony. Jest teraz tą najbardziej interesującą: nie doszło do żadnego morderstwa.

– Przecież się przyznałem.

– Owszem.

– Ale? – zapytał Eschburg.

– Prokuratura zrobi wszystko, żeby przyznanie do winy zostało uznane przez sąd. Ale podejrzewam, że sąd przysięgły nie będzie chciał tego wyko-
rzystać. Jeśli tak, sędziowie będą musieli sprawdzić, czy pozostałe poszlaki
są wystarczające. Tu pojawiają się pytania otwarte. Dwa najważniejsze: kim
była ta kobieta? I gdzie jest jej ciało? Pańskie zeznanie urywa się w tym miej-
scu.

– Czy muszę odpowiadać na pytania sądu?

– Nie. – Biegler otworzył akta. – Pańskie ostatnie zdanie brzmi
następująco: „Sprawiłem, że zwłoki zniknęły. Rozpuściłem je”. Tu koniec
przesłuchania. – Biegler przysunął akta w stronę Eschburga i wskazał mu ten
fragment.

– Przypominam sobie – powiedział Eschburg.

– Jak pan to zrobił?

– Co?

– To ze zniknięciem. Jak Houdini, ten magik?

– Za pomocą chemikaliów.

– Aha.

– Jako fotograf mam do nich dostęp.

– A później?

– Włożyłem zwłoki do roztworu kwasu solnego. Rozpuściły się – oznajmił
Eschburg.

Biegler przysunął akta z powrotem do siebie i włożył je do teczki. Wstał.

– Nie wydaje mi się, żebym podjął się pańskiej obrony.

– Dlaczego?

Wreszcie zareagował, pomyślał Biegler.

– Bo panu nie wierzę. Nie musi mi pan oczywiście mówić prawdy, może
pan wszystkiemu zaprzeczyć. Może pan milczeć, może pan nawet wypróbo-
wywać na mnie różne wersje jednej historii. Kłamstwa są do zaakceptowania.
Ale jednego nie zniosę: kiedy klient przyznaje się do czegoś, czego *nie* zro-
bił.

– Nie rozumiem – powiedział Eschburg.

– Zwłoki w kwasie solnym to dobre w powieści kryminalnej. W rzeczywi-
stości to nie działa, w każdym razie nie działa najlepiej. Ciało nie rozpuszcza

się do końca nawet wtedy, kiedy wiele dni leży w roztworze kwasu solnego. Breja staje się żółtawa, wytrącają się z niej elementy organiczne. Nie mówiąc o zębach i kościach.

– A co z tą sprawą w Belgii, z pastorem? – spytał Eschburg.

– Zasięgał pan informacji? Interesujące. Ma pan na myśli Andrása Pándy’ego, tego Węgry – odparł Biegler, wkładając płaszcz. – Zgadza się, Pándy zabił czworo z ośmiorga swoich dzieci. Ale nie użył kwasu solnego, zastosował środek do czyszczenia rur. Można było go wtedy kupić w każdej drogerii. Córka Pándy’ego przyznała się do tego. Tak na marginesie nie należała do najprzyjemniejszych ludzi, zastrzeliła matkę, by móc bez przeszkód sypiać z ojcem.

Biegler, ubrany w płaszcz, chodził po pomieszczeniu tam i z powrotem. Ręce miał splecione na plecach. Czasami przyjmował taką pozę, kiedy wygłaszał gościnnie wykłady w wyższej szkole policyjnej.

– Młoda kobieta w każdym razie twierdziła, że zwłoki poćwiartowała, zanurzyła w środku do czyszczenia rur, a następnie wszystko wylała do odpływu. Nikt w to nie uwierzył. Belgijski sędzia śledczy chciał zbadać sprawę. Według mojej wiedzy był to jedyny przypadek, kiedy przebieg takiego zdarzenia został sprawdzony naukowo.

– Sprawdziło się?

– Podczas eksperymentu najpierw poćwiartowano świńskie łby i włożono je do tego samego środka do czyszczenia odpływów. Zdziwiająco, bo faktycznie w ciągu dwudziestu czterech godzin rozpuściły się całkowicie, łącznie z zębami, sierścią i kośćmi. Następnie zrobiono taki sam eksperyment na ludzkich szczątkach, narobili wtedy niezłego bałaganu. Z etycznego punktu widzenia budzi to wiele zastrzeżeń, opublikowałem na ten temat artykuł. Eksperyment ze zwłokami skończył się tak jak ten ze świniami: wszystko rozpuściło się idealnie i w zawrotnym tempie. Środek do czyszczenia rur pochodził z Anglii, nazywał się Cleanest. – Biegler uśmiechnął się. – Adekwatna nazwa w pewnym sensie, prawda?

Stanął obok Eschburga i nachylił się.

– Ale to było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, czternaście lat temu. Kiedy eksperyment został opisany w mediach, producent Cleanestu zmienił jego skład. Co ważne: kwas solny nigdy nie był jego składnikiem.

Bieglerowi wydało się niepokojące, jak bardzo jego własne odczucia od-

biegały od tego, jak Eschburga opisano w aktach. Ten młody mężczyzna nie był chłodny. To było coś innego. Zdawało się, że Eschburg na coś czeka, ale Biegler nie wiedział na co.

– Proszę więc być wobec siebie szczerym – powiedział Biegler. – Najpewniej nie byłby pan w stanie poćwiartować zwłok. Już samo to nie należy do łatwych rzeczy. Pora na mnie.

– Proszę zostać jeszcze chwilę – powiedział Eschburg. Wyciągnął z kurtki wycinek z gazety i położył na stole. Biegler wziął go do ręki. Był to artykuł o nim. Dotyczył obrony w sprawie o gwałt.

– No i? Są bardziej znani adwokaci – oznajmił.

– Nie o to mi chodzi. W tym wywiadzie powiedział pan, że prawda i rzeczywistość to dwie różne rzeczy, tak samo jak prawo i moralność. Powiedział pan to tylko dlatego, że to dobrze brzmi?

Eschburg był blady jak większość więźniów. Miał na sobie czarną kaszmirową kurtkę i czarny golf. Jeszcze bardziej podkreślały jego bladość.

– Tu jest napisane, że właściwie chciał pan zostać muzykiem. Jednak później rozpoczął pan studia prawnicze. – Eschburg zaczął czytać: – „Sąd to ostatnia ważna instytucja, która zajmuje się prawdą”. Właśnie dlatego chcę, by mnie pan bronił.

– To było bardzo dawno temu – powiedział Biegler. – Jest pan oskarżony o zabójstwo człowieka. Powinien pan myśleć wyłącznie o sobie.

– Przecież to właśnie robię – odparł Eschburg. – Będzie mnie pan bronił?

– Dlatego że rzeczywistość i prawda to dwie różne sprawy? – zapytał Biegler.

– Dlatego że pan to rozumie – odpowiedział Eschburg.

Biegler spojrział na zegarek. Usiadł.

– Dobrze więc, pańska sprawa wydaje mi się interesująca. Ale nie z powodu ciała, które rzekomo zniknęło, i nie dlatego, że jest pan znanym artystą. W pańskiej sprawie interesuje mnie jedynie kwestia tortur.

– Mam to panu opisać?

– Nie – odparł Biegler. – Prokuratorka sporządziła na ten temat notatkę. Wszystko zależy teraz od tego dokumentu. Obawiam się, że sąd panu nie uwierzy, jeśli opowie pan coś innego. Na razie wystarczy mi ta notatka. Jutro mam w pańskiej sprawie spotkanie z prokuratorką prowadzącą dochodzenie i przewodniczącym składu sędziowskiego. Pojutrze ma się odbyć badanie podstaw pańskiego aresztowania. Wtedy wszystko się wyjaśni. Jeszcze dziś

każę dostarczyć panu kopie akt.

Biegler opuścił areszt śledczy znajdującymi się w piwnicy schodami, które prowadziły do sądu. Na ulicach leżały mokre liście, przyklejały się do masek samochodów, wielkie szyby autobusów były zaparowane.

Może funkcjonariuszka miała rację, pomyślał Biegler, i z tym mężczyzną jest coś nie tak. Niemożliwe, by Eschburg dopiero w więzieniu zdobył artykuł z gazety, musiał go mieć przed aresztowaniem. Nagle Biegler znów poczuł ucisk w piersi, promieniował przez ramię aż do żuchwy. Oparł się o mur budynku sądu. Odczekał, aż ból odpuści. Zdjął płaszcz, mimo że było już chłodno.

Szedł do kościoła przez niewielki park. Od lat nie był w żadnym kościele, od chrzcina syna. Drzwi stały otworem. Zdjął kapelusz i usiadł w ostatnim rzędzie. Kościół był pusty. W żółtych szybach załamywało się światło i padało na podłogę. Ktoś wyrył na ławce inicjały. Biegler oparł czoło o znajdujące się przed nim oparcie. Jedna z płytek w podłodze była pęknięta. Przesunął po niej butem. Siedział tak przez chwilę i przypatrywał się tej płytce.

Na chodniku przed kościołem jakiś chłopak naprawiał rower. Postawił go na kierownicy i siodełku i za pomocą pedałów kręcił tylnym kołem. Było scentrowane. Chłopak miał brudne ręce i otarcie na łokciu. Próbował na siłę naprostować koło.

– To się nie uda – powiedział Biegler. Chłopak podniósł na niego wzrok. Biegler wzruszył ramionami. – Tak to już jest – dodał. Chłopak dalej próbował. Biegler przyglądał się temu jakiś czas, potem wyciągnął z kurtki portfel, a z niego dwadzieścia euro. – Kup sobie nową obręcz – powiedział. Chłopak wziął pieniądze i schował, nie mówiąc ani słowa.

Migdałowego biszkopcika? – Przewodniczący składu sędziowskiego uniósł nad stołem puszkę z ciastkami. Na sobie miał niebieski blezer ze złotymi guzikami, na których wygrawerowany był fantazyjny herb. Był gładko ogolony, miał różową skórę, podwójny podbródek, odstające uszy. Nosił za duże okulary o okrągłych szklach. Ludzie, którzy go znali, mieli go za miłego, może nieco głupiego.

– Zrobiła je moja żona – dodał przewodniczący.

Landau pokręciła głową, Biegler poczęstował się. Ciastko smakowało jak tektura. Biegler przypomniał sobie, że przewodniczący miał kilka lat temu romans z aplikantką. Chodziły plotki, że kosztowało go to powołanie na stanowisko sędziego Trybunału Federalnego.

– Dziękuję – powiedział Biegler.

Przewodniczący przyglądał się Bieglerowi, podczas kiedy ten przeżuwał biszkopcika.

– Wyśmienicie piecze – dodał. – Może jeszcze jednego?

– Tak, z przyjemnością. – Sam ich jednak nie je, pomyślał Biegler.

– Czy otrzymał pan akt oskarżenia? – zapytał przewodniczący.

– Tak, dostałem. – W ustach miał pełno mąki i cukru.

– Możemy więc zaczynać. Jeśli pański klient nie będzie chciał ustosunkować się do aktu oskarżenia ani nie wniesie o przeprowadzenie dowodu, mogliśmy rozpocząć rozprawę główną. Inny proces został nagle odroczony, więc nieoczekiwanie mamy czas na to postępowanie.

– To raczej zaskakujące – odparł Biegler. – Nie jestem przygotowany. A więc badanie podstaw aresztowania się nie odbędzie?

– Nie, od razu rozpoczęlibyśmy rozprawę główną, jeśli pan się zgodzi – powiedział przewodniczący.

– Czy już teraz uchyli pan nakaz aresztowania Eschburga? – zapytał Biegler.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – odparł przewodniczący.

– Ponieważ jego przyznanie się do winy nie może zostać wykorzystane. Policjant groził mu torturami. Notatka pani Landau wyjaśnia to przecież –

wytłumaczył Biegler. – Jesteśmy oczywiście zadowoleni, że może pan tak szybko rozpatrzyć tę sprawę, ale bardzo chciałbym, by Eschburg wyszedł na wolność.

Przewodniczący przytaknął.

– Kwestia tortur to jedno z zagadnień tego postępowania – dodał. Spojrzał na Landau i czekał.

– Możemy to wyjaśnić w toku postępowania głównego – odparła Landau.

Dobra jest, ani krzty niepewności, pomyślał Biegler. Odwrócił się na fotelu w jej stronę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie wyjaśniła pani tego dużo wcześniej. Mimo że była pani przy tym, zawarła pani w akcie oskarżenia przyznanie się Eschburga do winy, jak gdyby nic się nie stało. Przecież wszyscy wiemy, że nie można go wykorzystać.

– O możliwości wykorzystania przyznania się do winy zadecyduje sąd – powiedziała Landau.

– Proszę być poważną – odparł Biegler.

– To nie jest błaża sprawa – dodał przewodniczący. – Wykonuję swoją pracę blisko trzydzieści lat. Jeszcze nigdy nie miałem wypadku torturowania. Jeśli zarzut okaże się zasadny, oczywiście zbadamy przyznanie się do winy. – Przewodniczący powiedział to stanowczym głosem. – Jednak pani Landau ma rację. Dopiero w toku rozprawy głównej izba będzie mogła zbadać zarzut zastosowania tortur. Panie Biegler, zanim pański klient złoży zeznanie, przesłuchamy w charakterze świadka tego policjanta, a następnie może i panią Landau. Pytanie brzmi, czy pański klient znów się przyzna.

– Jeszcze z nim tego nie omówiłem – oświadczył Biegler. – Nie wydaje mi się jednak, że w ogóle mają tu państwo jakąś sprawę. Nie znaleźli państwo ciała. Nie wiedzą państwo nawet, kto miałby zostać zamordowany. Wiem, że przed tą izbą już raz toczył się proces o morderstwo, gdzie zwłok nie odnaleziono. Ale wtedy byli świadkowie, którzy widzieli, co się stało. Były też setki poszlak...

– Były nawet zdjęcia zwłok – dodał przewodniczący.

– Tak, właśnie. Ale tu nie ma nic – oświadczył Biegler.

– To nieprawda – odparła Landau. – Mamy telefon, który ofiara wykonała do policji. Poza tym mamy filmy sado-maso, kajdanki, pejcze, narzędzia sekcyjne, wynajęty samochód ze śladami krwi, podartą sukienkę w śmietniku i tak dalej. Te poszlaki są niezależne od przyznania się do winy pańskiego

klienta.

Bieglerowi podobało się, że Landau walczy. Też bym tak zrobił, pomyślał.

– Do tej pory wiemy tylko o telefonie od nieznanej kobiety – powiedział Biegler. – Jednak nie znamy jej. To mógł być żart. Albo niesłuszne podejrzenie. Eschburg jest bardzo znany i jak wszystkie osoby publiczne jest narażony na podobne absurdy. Nie może pani nic na tym opierać. Co do pani pozostałych *poszlak*: posiadanie żadnej z wymienionych rzeczy nie jest zabronione, czyż nie? A sukienka? Czy na pewno wie pani, dlaczego jest podarta? Albo kto to zrobił? Czy naprawdę wierzy pani, że jakikolwiek sąd skáže za to człowieka na dwadzieścia pięć lat?

– Pański klient może przecież udzielić nam odpowiedzi na pytania – powiedziała Landau.

– Teraz to już się pani naprawdę ośmiesza – odparł Biegler.

– Sąd będzie oceniał wszystkie poszlaki łącznie, nie każdą z osobna – oświadczyła Landau.

– To wspaniałe, że zawsze wie pani, jak postąpi sąd, ale... – zaczął Biegler.

– Już dobrze – przerwał mu przewodniczący. – Nie musi tu pan wygłaszać mowy.

– Mogę zapalić? – zapytał Biegler.

– W żadnym razie, to budynek publiczny – oznajmiła Landau.

– To nie żaden budynek, tylko mój gabinet – odrzekł przewodniczący. – Mimo to nie. Ale może się pan poczęstować biszkopcikiem.

Biegler pokręcił głową. Już miał zgagę.

– Nie chcę w tej chwili zaczynać rozprawy głównej, pani prokurator – powiedział przewodniczący – ale obawiam się, że powinna pani popracować nad aktami. Zgromadzony materiał dowodowy jest rzeczywiście słaby.

– Dowodów nie można jeszcze kupić w sklepie – skwitował Biegler.

– Proszę nie być tak aroganckim – odparła Landau.

– Ach tak? – Biegler zdenerwował się. – Mój klient od siedemnastu tygodni siedzi w areszcie śledczym. Miesiącami prowadzi pani dochodzenie, nie mogąc przedstawić niczego sensownego. Z wolnością mojego klienta obchodzi się pani tak, jakby to była puszka z kocią karmą. Pani policjant zagroził mu torturami. W prasie nic o tym nie piszą. Teraz to się zmieni, *droga* pani Landau. Rozpowiedziała pani opinii publicznej o życiu intymnym Eschburga. Zadbała, by już nikt nie kupił od niego żadnego zdjęcia. Jednak najważniejsze w tym procesie pani przemilcza. A teraz siedzi pani sobie z nogą

założoną na nogę i nazywa mnie aroganckim?

– Niech się pan uspokoi, Biegler – powiedział przewodniczący. – Nie wiemy, jak ta informacja przedostała się do mediów.

– Nie musimy tego wiedzieć. To stało się w trakcie postępowania przygotowawczego, a to pani Landau jest za nie odpowiedzialna. W tej części postępowania oskarżony znajduje się pod szczególną ochroną państwa. Ale w tej chwili wygląda to tak, i nieważne, jaką gazetę państwo czytają, jakby jego wina nie pozostawiała wątpliwości. Jak mam się więc uspokoić? Stronnicza polityka udostępniania informacji przez prokuraturę to przecież bezczelność. Przeczytałem cały segregator z relacjami prasowymi i nie było tam słowa o groźeniu torturami. Nie pojmuję tego. I jeśli mówimy już o zaniedbaniach, oskarżenie jest przecież w ogóle niezrozumiałe. Czemu służyć ma to postępowanie? Morderstwo bez zwłok to sprawa niemal nie do rozwikłania. Ale morderstwo, w którym nie wiemy nawet, kto miałyby być ofiarą? To już po prostu absurd – oświadczył Biegler.

Przewodniczący składu sędziowskiego uśmiechnął się. Bieglerowi się to nie spodobało.

– Może nie będzie pani musiała wybierać się do sklepu z dowodami, pani Landau – powiedział przewodniczący, wciąż się uśmiechając. – Izba powołała biegłego z zakresu medycyny, by raz jeszcze zbadał ślady krwi. To była przecież tylko drobnostka, pewnie pominięto to przez nieuwagę. DNA pańskiego klienta, panie Biegler, nie zostało dotychczas porównane z DNA domniemanej ofiary. Należy to właściwie do standardowych badań z zakresu medycyny sądowej, może się jednak zdarzyć, że się o tym zapomni.

– Nie rozumiem ani słowa – powiedział Biegler. Landau również spojrzała na przewodniczącego.

– Kazaliśmy to nadrobić. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy z instytutu ekspertyzę. – Przewodniczący podał kopię Bieglerowi i Landau. – Tożsamość zaginionej kobiety została częściowo wyjaśniona. Podsumowując orzeczenie: ta nieznaną kobietą to przyrodnią siostrą Eschburga.

Pierwszą rzeczą, jaką następnego ranka zrobił Biegler, było pójście do aresztu. Przedstawił Eschburgowi nową ekspertyzę lekarza medycyny sądowej.

– Czy jest pan zaskoczony, że to pańska przyrodnia siostra? – zapytał Biegler.

– Dziwię się tylko, że śledczy potrzebowali tyle czasu – odparł Eschburg.

– Nie ułatwia mi pan, panie Eschburg.

– Przykro mi.

– Nie chce czy nie może mi pan pomóc? Do tej pory nie wiem nawet, czy ta kobieta jest dzieckiem pana matki, czy ojca. Biegły sądowy powiedział, że potrzebne byłoby DNA rodziców, by to niezbicie stwierdzić. Prokuratura najpierw będzie z pewnością prowadzić śledztwo w kierunku pańskiej matki, choćby z tego powodu, że tak będzie prościej – powiedział Biegler.

Eschburg wzruszył ramionami.

Biegler odczekał chwilę, potem z kieszeni marynarki wyjął notatnik.

– Dobrze, zacznijmy od czegoś innego. Mam kolejny problem – powiedział Biegler. – Podczas naszej ostatniej rozmowy opowiadał mi pan o swojej sąsiadce z Linienstraße.

– O Senji Finks – powiedział Eschburg.

– Moi pracownicy sprawdzili to – oznajmił Biegler. – Najwyraźniej nikt nigdy tam nie mieszkał. Nie miał pan żadnych sąsiadów.

Eschburg wydał się zaskoczony.

– Ale my się spotykaliśmy. Na dachu przy Linienstraße, w jej mieszkaniu, w szpitalu.

– Czy może pan sobie przypomnieć, kto jeszcze widział tę kobietę? Kogokolwiek?

– Nie wiem... Nie, zawsze kiedy ją spotykałem, byliśmy sami. Ale ta bójka... Byłem w szpitalu. Muszą być jakieś dokumenty ze szpitala.

– Owszem, są. Policja znalazła je w pańskim mieszkaniu. – Biegler wyjął z aktówki jasnozieloną kartkę z jakimś pismem. – To wypis ze szpitala. Jest tu napisane, że upadł pan i rozbił sobie głowę, rana tłuczona i wstrząśnienie mózgu.

- To była bójka.
- Już mi pan to mówił, wiem. Kazałem to sprawdzić na policji. Nie ma tam żadnego zgłoszenia.
- Oczywiście, że nie ma. Niczego nie zgłosiłem, bo Finks mnie o to poprosiła. Ale proszę poczekać... Musi przecież być stara umowa wynajmu mieszkania.
- Również to sprawdzili moi pracownicy. Ostatnim zapisanym w księdze wieczystej właścicielem budynku przy Linienstraße była spółka kapitałowa ze Szwajcarii. Pan kupił dom od tej firmy. Po sprzedaży spółka została rozwiązana. Pełnomocnik w Zurychu nie ma już żadnych dokumentów.
- Senja Finks zawsze płaciła gotówką, wkładała kopertę do mojej skrzynki na listy. Nie było tego dużo. Nigdy nie mówiliśmy o umowie.
- Biegler wstał i podszedł do okna. Było mu żal Eschburga, ten człowiek potrzebował pomocy.
- Musi pan zrozumieć: nigdy nie było żadnej Senji Finks, mieszkanie stało puste. – Biegler zaczął mówić powoli. – Rozmawiałem przez telefon z pańską przyjaciółką Sofią, ona również nigdy nie widziała tej kobiety.
- Eschburg pokręcił głową. Skulił się.
- Będzie mnie pan bronił dalej? – zapytał Eschburg.
- Nie mogę zrzec się pełnomocnictwa tuż przed rozprawą główną. Sąd przydzieliliby mnie jako obrońcę z urzędu. Musi mi pan teraz opowiedzieć o pańskiej siostrze. Możemy przegrać proces, jeśli prokuratura będzie szybsza od nas – oznajmił Biegler.
- Dobrze – odparł Eschburg po chwili. – Tak zrobię.

Po wizycie w areszcie Biegler pojechał taksówką do restauracji, w której zwykle jadał obiad. Prowadzili ją Libańczycy podający się za Włochów. Pomimo zakazu palenia w tylnej części restauracji znajdowała się sala z kominem, gdzie wolno było palić. Biegler siedział tam sam, umówił się z Sofią.

Zamówił spaghetti. Następnie zadzwonił do kancelarii i poprosił sekretarkę, żeby rozesłała do agencji informacyjnych i gazet oświadczenie, które napisał poprzedniego dnia. Wiedział, że o sprawie tortur będzie się niebawem mówiło wszędzie.

Samych wypadków tortur, grózb i oszukiwania obwinionego jest, rzecz jasna, więcej niż spraw ich dotyczących, które trafiają przed sąd, pomyślał. Za-

wsze są policjanci, którzy wierzą, że muszą tak postąpić. Biegler był wdzięczny Landau za jej notatkę. Bez tego papierka nie mógłby udowodnić tortur, żaden sąd nie uwierzy oskarżonemu, który zeznałby coś takiego. Mimo to Biegler nie rozumiał, dlaczego kobieta w ogóle do tego dopuściła.

Kiedy Sofia weszła do restauracji, wstał i pomachał do niej z głębi pomieszczenia. Wyglądała tak, jak opisał ją Eschburg. Pozostali goście odwrócili się za nią.

Ona do tego nie pasuje, pomyślał.

Sofia zamówiła tylko herbatę. Rozmawiali o demonstracjach i budowach oraz turystach w mieście. Potem Biegler rzucił możliwie spokojnie:

– Czy wiedziała pani, że ta zaginiona kobieta jest przyrodnią siostrą Eschburga?

– Co?! – Sofia prawie krzyknęła.

– Zbadano DNA. Wyniki nie pozostawiają żadnych wątpliwości – powiedział.

– Nie wiedziałam nawet, że ma siostrę – odparła Sofia. – Nie opowiadał mi wiele o swojej rodzinie. – Dopiero teraz zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie krzesła. – Co to oznacza dla procesu? – zapytała.

– Zabójstwo własnej siostry również jest zabronione – powiedział Biegler, nie przerywając jedzenia.

Sofia potrząsnęła głową. Biegler podniósł wzrok.

– Przepraszam – powiedział. – Oznacza to, że prokuratura prowadzi dalsze śledztwo. Będą starali się ustalić, kim jest ta kobieta. Albo była.

– Proszę mi wierzyć, Sebastian nie jest mordercą.

– Tak mówią wszystkie przyjaciółki i większość żon – oznajmił Biegler.

– Czy widział pan kiedyś, jak on wita się z ludźmi? Zawsze gdy wyciąga rękę, stara się trzymać na dystans. Nie potrafi nikogo dotknąć – powiedziała Sofia.

– No tak – odparł Biegler. Zastanawiał się, czy zamówić drugi deser, mimo że Elly tego zabraniała.

– Ja po prostu w to nie wierzę – stwierdziła Sofia.

– Wiara to trudna kwestia. Miałem kiedyś klienta, który przez sześć lat nie był w stanie opuścić własnego mieszkania. Bał się ludzi, on też nie potrafił nikogo dotknąć. Ale poznał kobietę przez internet. Nawet miał z nią dziecko.

Potem stawał się coraz bardziej zdziwaczały. Nie mógł jeść czerwonych ani zielonych rzeczy i uważał, że śledzi go przemysł perfumeryjny. Godzinami rozmawiał z ludźmi, których nie było, i odżywiał się jedynie płatkami owsianymi. Oczywiście jego przyjaciółka w końcu się z nim rozstała. Była miłą dziewczyną. Co tydzień go odwiedzała, robiła mu zakupy i dbała, by się nie zapuścił. Potem popełniła błąd. Uznała, że mężczyzna powinien w końcu zobaczyć ich wspólne dziecko. Udusił ją. Następnie umył jej włosy, pilniczkiem opiłował paznokcie u rąk i nóg oraz wyszczotkował jej zęby. Nożem kuchennym naciął jej skórę trzydzieści cztery razy. W rany powkładał kartecki. Na każdej napisał to samo słowo, „kapsel”. Mężczyzna został zatrzymany na klatce schodowej, dziecko cały czas siedziało w kuchni obok matki i krzyczało. Sąsiedzi wezwali policję, ponieważ mężczyzna miał krew na rękach. Nie mógł sobie niczego przypomnieć. Poza tym, że dotknął poręczy. To było dla niego najgorsze: poręcz. Powiedział, że była taka brudna.

– Co miał oznaczać ten *kapsel*? – zapytała Sofia.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Biegler.

Sofia wpatrywała się w niego i znów pokręciła głową.

Biegler wzruszył ramionami i opowiedział to, czego dowiedział się od Eschburga. Jego przyrodnia siostra rzekomo pochodzi z Austrii, ze wsi, do której ojciec mężczyzny jeździł na polowania.

– Co pan teraz zrobi? – zapytała Sofia.

– A co mam zrobić? Muszę oczywiście pojechać do Austrii, znów w te cholerne góry, nic innego mi nie pozostaje. Najwyraźniej jestem teraz kimś w rodzaju posłańca Eschburga. Nie jest to szczególnie zabawna rola, jeśli chce pani wiedzieć – dodał.

– Dlaczego Sebastian nie powiedział panu, gdzie jest jego siostra?

– Powiedział, że zrozumie wszystko na miejscu. Dziwna odpowiedź, nie uważa pani?

– Pasuje do niego – odparła Sofia.

– Nie cierpię niespodzianek. Kiedyś w moje urodziny Elly...

– Powiedział, czy ona jeszcze żyje? – spytała Sofia.

– Nie. – Sofia podobała mu się, pomyślał, że jest miła. Chciał dodać coś krzepiącego. – Jednak nie powiedział też, że ją zabił. – Nie zabrzmiało to tak, jak miał nadzieję, że zabrzmie.

– Mogę pojechać z panem? – zapytała. – Nie chcę tu czekać, nie zniosę tego.

Biegler zastanowił się, czy kobieta nie będzie zbyt absorbująca.

– Tak, jeśli pani obieca, że nie będzie mi wciąż wyjaśniać, dlaczego on nie jest mordercą.

– Mimo to Sebastian tego nie zrobił – powiedziała Sofia. – Nie mógłby. Znam go.

Biegler wzruszył ramionami i poprosił o rachunek. Pożegnali się na ulicy. Przeszedł kilka kroków, potem odwrócił się do Sofii i zawołał za nią:

– Proszę powiedzieć, zna pani przypadkiem dobrego dendrologa?!

– Słucham? – zapytała Sofia.

– Ach, już nieważne.

Wsiadł do taksówki i pojechał do domu.

Po południu Elly wróciła z przychodni. Biegler stał w otwartym garażu. Nie miał na sobie marynarki. Rękawy jego koszuli były podwinięte.

– Co ty tam robisz? – zapytała Elly.

– Dlaczego właściwie mamy aż tyle całówek? – spytał Biegler. Na czole wystąpiły mu krople potu. – Dziewięć całówek, trzy młotki i ani jednych obcęgów. To przecież kuriozalne.

W rękach trzymał dwa kartony.

– To aż tak straszne? – odparła.

Na kamizelce miał plamę oleju. Elly przesunęła drewnianą skrzynkę ze starymi szmatami i puszkami.

– Poczekaj – powiedział. Postawił kartony, z kieszeni spodni wyciągnął dużą białą chusteczkę i położył ją na ławce. Elly usiadła. Stał naprzeciw niej. Czuł się jak mały chłopiec.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała. – Zawsze kiedy sprzątasz garaż, coś ci jest.

– Ja go po prostu nie rozumiem – powiedział Biegler.

– Kogo?

– Eschburga, tego artysty. Nie rozumiem, co się z nim dzieje.

Elly wyjęła z drewnianej skrzynki puszkę z zaschniętym lakierem.

– Pamiętasz jeszcze, jak budowałeś samochodzik dla naszego syna? – zapytała.

– To było bardzo skomplikowane, przypominam sobie – odpowiedział Biegler.

– Na pudle napisano, że dzieci od dwunastu lat same mogą go złożyć – dodała Elly.

– Dalej jestem przekonany, że to błąd w druku – odparł Biegler. – To nie był najlepszy samochódzik. – Usiadł obok.

– Ale miał ładny kolor – odparła Elly.

Spojrzał na nią. Nawet w tamtej chwili, dwadzieścia osiem lat później, wciąż nie rozumiał, dlaczego wybrała właśnie jego. Przecież zajmował się też brudnymi sprawami. Przy niej wydawał się sobie niezgrabny, ociężały, niezdarne.

– Wydaje mi się, że się starzeję, Elly – powiedział.

– Zawsze byłeś stary – odpowiedziała Elly. Odłożyła puszkę i wytarła palce w róg chustki.

– Było przecież lepiej, kiedy telefony stały na biurku ze słuchawką na kablu – oświadczył Biegler.

– Co się teraz stanie z tym Eschburgiem? – zapytała.

– Nie wiem. Został oskarżony o morderstwo. Przyznał się do winy. Siedzi w areszcie śledczym, a prasa pisze o nim obrzydliwe artykuły. Ale wydaje się, że to wszystko nie może mu zaszkodzić. Policjanci mówią, że jest chłodny. Nie wydaje mi się, że to takie proste. Jest w nim coś, co uchroni go od więzienia.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz tego sąsiada w naszym pierwszym mieszkaniu? Ten starszy człowiek mieszkał sam. Raz go odwiedziłem. Siedział w swojej malutkiej kuchni ubrany w garnitur i krawat. Stół był idealnie nakryty: obrus, srebrne sztuce, kieliszek do wina, serwetka. Miał nawet zapięte spinki do mankietów. Co dzień siedział tak w kuchni, chociaż nikt go nie widział. Robił to, bo nie chciał się stoczyć. Ten starszy mężczyzna ze spinkami był jak Eschburg. Otaczało go coś nieuchwytnego.

– Ty też tak oddziałujesz na innych ludzi – po chwili powiedziała Elly. – Kiedy byłeś młodym adwokatem, wielu miało cię za snoba.

– Snoba?

– Trochę wciąż nim jesteś. Na nasze pierwsze spotkanie poszliśmy wieczorem do teatru, chociaż teatru nie cierpisz i nie masz o nim pojęcia. Chciałeś mi tylko zaimponować. W środku sztuki wyszeptaleś, że Edyp był pierwszym detektywem w historii, że prowadził śledztwo przeciwko sobie, nie wiedząc o tym. Potem powiedzialesz, że wszyscy tak robimy. Byłeś o tym

święcie przekonany. Może to właśnie to, tamta *pewność*. Bardzo mnie pociągała.

– Doprawdy? – Uśmiechnął się do niej. Wciąż wygląda jak dziewczyna, pomyślał.

– Tylko niczego sobie nie wyobrażaj, Biegler – powiedziała.

Następnego ranka Biegler i Sofia polecili pierwszym samolotem do Salzburga. Biegler narzekał na wąskie siedzenia, „nie jestem przecież kurą”, powiedział.

Kobieta siedząca obok Bieglera zamówiła kielbasę w sosie curry, kawałki mięsa pływały w brązowej papce, w kwadrans „odświeżona” przy stu pięćdziesięciu stopniach w piecyku konwekcyjnym. Stewardesa położyła rękę na ramieniu Bieglera i zapytała, czy chce przekąskę słodką, czy słoną. Biegler zaczął wymyślać kobiecie. Kierownik personelu pokładowego podszedł, powiedział, że jest „ochmistrem” na pokładzie. Biegler wyjaśnił mu, że określenie „ochmistrz” stosowane jest w marynarce handlowej i oznacza „prowiantowego”, a przecież o żadnym prowiancie nie może być w tym latającym pudle mowy.

Sofia próbowała go uspokoić. Biegler odparł, że to tamten mężczyzna zaczął.

- Dlaczego właściwie został pan adwokatem? – zapytała.
- Na muzyka bym się nie nadawał – odpowiedział Biegler.
- Niech się pan nie wygłupia, to nie jest odpowiedź.
- To długa historia, nie chcę pani zanudzać.
- Nie zanudza pan – powiedziała Sofia.
- Chociaż ostatecznie może nie jest to wcale skomplikowane. Kiedyś w końcu zrozumiałem, że człowiek należy wyłącznie do siebie. Nie do jakiegoś boga, kościoła, państwa, jedynie do siebie samego. To jest jego wolność. Ta wolność jest krucha, delikatna i łatwo ją naruszyć. Jedynie prawo może ją chronić. Nie zabrzmiało to zbyt patetycznie?
- Trochę – odparła Sofia.
- Mimo to wierzę w to.
- A co będzie pan robił, kiedy ta sprawa się skończy? – zapytała Sofia.
- Będzie następny klient, rzecz jasna. Czemu pani o to pyta? – powiedział Biegler.
- Nie ma pan już dość? Nie przeszkadzają panu ciągle ataki prasy?
- Obrona to nie jest konkurs popularności – powiedział Biegler.

- Ale nie chciałby pan zająć się czymś innym? Na przykład pójść w politykę? Znani adwokaci tak czasami robią.
- W politykę?
- Tak, kwestie poruszające cały świat...
- ...im bardziej poruszająca cały świat kwestia, tym mniej mnie interesuje
- odparł Biegler.

W Salzburgu wynajęli samochód i po ponad dwóch godzinach jazdy dotarli do górskiej wioski. Zatrzymali się na placu przed gospodą Złoty Jeleń. Biegler zadzwonił do drzwi. Kiedy nikt nie otwierał, obeszlili budynek. Brama od ogrodu była otwarta. Biegler zobaczył siedzącego przed domem dziobatego mężczyznę z siwym kilkudniowym zarostem. Chciał do niego pomachać, kiedy skoczył na niego pies. Biegler nie mógł się cofnąć. Przewrócił się, płót zamortyzował upadek, ale ostre sztachety wpiły się Bieglerowi w plecy.

Dziobaty mężczyzna ryknął:

– Spokój, Nicpoń!

Pies zostawił Bieglera, spojrział na niego i pomerdał ogonem. Mężczyzna podszedł. Biegler doprowadzał swoje ubranie do ładu.

– Grzeczny Nicpoń, grzeczny – powiedział mężczyzna. Pies położył się na ziemi.

– Nie uważam, żeby Nicpoń był grzeczny – oznajmił Biegler. Bolały go plecy.

– Lubi pana – odparł mężczyzna – na ogół od razu gryzie. – Jak gdyby oczekiwał komplementu dla Nicponia.

Sofia nachyliła się do psa i pogłaskała go.

– Co to za rasa? – zapytała. – Jest ładny.

– Ładny? Uważa pani, że jest ładny? To potwór – oświadczył Biegler.

– Berneński pies pasterski – odpowiedział mężczyzna. – Najlepszy pies do życia w górach.

– Szukamy gospodyni – powiedział Biegler. Jeszcze miał psią sierść na twarzy.

– Jest w gospodzie.

– Dzwoniliśmy – powiedziała Sofia.

– Dzwonek jest zepsuty – powiedział mężczyzna. – Kim państwo są?

– Biegler, adwokat z Berlina. I mam alergię na psią sierść.

– Co z tego! – odpowiedział mężczyzna. Przyglądał się Bieglerowi śmiało i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Biegler odwzajemnił uśmiech. Stali tak przez jakiś czas. W końcu mężczyzna odpuścił.

– Niech państwo poczekają. – Skierował się do tylnych drzwi gospody. Powłóczył nogami, kiedy szedł.

Sofia pomogła Bieglerowi usunąć sierść z ubrania. Pies opierał się o nogę Bieglera, merdał ogonem.

– Cały czas mi się przygląda – zauważył Biegler.

– Po prostu pana lubi – powiedziała Sofia.

– Ma za dużo sierści – odparł.

Kilka minut później dziobaty mężczyzna wyszedł i gestem zaprosił ich do środka. Weszli do sali przez kuchnię. Stoły wykonane były z jasnego dębu, ściany pokrywała drewniana boazeria. Pachniało świeżo upieczonym chlebem i pastą do podłogi. Podeszła do nich kobieta, była lekko po czterdziestce i miała jasnoniebieskie oczy.

– Kim państwo są? – zapytała.

– Biegler, jestem adwokatem – odpowiedział Biegler.

– Tak?

– Jesteśmy tu w związku z Sebastianem von Eschburgiem.

Kobieta odwróciła się, spojrzała na mężczyznę, który nadal stał przy drzwiach, i uniosła podbródek. Mężczyzna, powłócząc nogami, ruszył do drzwi. Odczekała, aż zniknie.

– Proszę usiąść. – Wskazała im miejsce przy stole. Sama wciąż stała.

– Czy był tu już ktoś z policji? – zapytał Biegler.

– Czemu z policji? – spytała kobieta.

– Albo z prasy?

– Nie, też nie. Na litość boską, o co chodzi? Czytałam o aresztowaniu Sebastiana, ale co to ma ze mną wspólnego?

– Przepraszam – powiedział Biegler. – Czy mógłbym dostać wody?

– Tak, oczywiście. – Kobieta spojrzała na Sofię. – Czy pani się czegoś napije?

– Ja też poproszę wodę – odpowiedziała Sofia.

Kobieta poszła za bar i wróciła z butelką i trzema szklankami. Napełniła je wodą i usiadła.

– A więc co się stało? – zapytała.

– Przykro mi, ale muszę o to zapytać – zaczął Biegler. – Ojciec Sebastiana jest też ojcem pani córki, tak? – Przyglądał się jej. Jej górna warga lekko drgała.

– Skąd pan o tym wie? – zapytała.

Biegler czekał. Wyobraził sobie życie kobiety w wiosce. Bycie samotną matką z pewnością nie było łatwe. Obok piekarnika wisiał drewniany krzyż. Bogów wymyślili sobie z powodu samotności, pomyślał, i tak na próżno.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała kobieta po dłuższym milczeniu. I niespodziewanie zaczęła opowiadać. Powiedziała, jak poznała ojca Sebastiana. To było ponad dwadzieścia lat temu, ona miała wtedy dziewiętnaście lat. Jej ojciec, właściciel gospody we wsi, kupił drogi samochód, kabriolet. Ojciec Sebastiana pożyczył to auto, a ona miała pojechać z nim. Powiedziała, że otworzył dach, mimo że była już jesień.

– Jechał strasznie szybko – mówiła – śmiał się i zachowywał bardzo niepoważnie. Miał niezwykle szczupłe ręce i miękkie włosy, prawie jak dziewczyna. Pojechaliśmy nad jezioro. Słuchaliśmy radia i patrzyliśmy na wodę.

– A potem przestali państwo na nią spoglądać – powiedział Biegler.

Przytaknęła. Była w nim bardzo zakochana, tak powiedziała. Cztery lata później zaszła w ciążę. Nie planowała tego, stało się to tak po prostu. Widywali się tylko wtedy, gdy przyjeżdżał na polowanie. Nie chciał jej stracić, stwierdziła, ale nie potrafił zostawić swojej rodziny.

– Jak to mężczyźni – dodała. – Kiedy mój brzuch zrobił się większy i wszyscy już wiedzieli, mówił tylko o tym, nie miał pojęcia, co zrobić. Płakał i deliberował, a potem znów płakał. Całkiem się pogubił.

Potem zaczął pić. Wódkę, tu na dole, w gospodzie, mocne trunki. Kobieta powiedziała, że zna pijaków i wie, że nie można im pomóc.

– To było dla mnie okropne, ale myślę, że dla niego było to jeszcze gorsze. Mój ojciec przyjął wszystko ze spokojem, powiedział, że jakoś wychowamy dziecko – ciągnęła. – W końcu nie chodziłam już na górę do domku myśliwskiego, wydawało mi się, że tak będzie lepiej, że inaczej on całkiem się załamie. Teraz myślę czasem, że źle zrobiłam. Kiedy na świat przyszła moja córka, byłam sama.

Kobieta popijała wodę ze szklanki. Przestała mówić tak nagle, jak zaczęła. Jej górna warga znów drżała. Biegler wyjął z kieszeni cygaretki.

– Mogę? – zapytał.

Przesunęła po stole popielniczkę. Biegler zapalił. Sofia chciała coś powiedzieć, ale Biegler potrząsnął głową. Kobieta wbiła wzrok w podłogę, a później obserwowała go, jak pali.

– Potem dowiedziałam się, że się zabił – powiedziała w końcu. – Usłyszałam o tym już po pogrzebie, bo przecież nikt u niego w domu o mnie nie wiedział. Ludzie mówili, że odstrzelił sobie głowę. Nigdy nie zobaczył swojej córki.

Ta rozmowa nie może się teraz skończyć, pomyślał Biegler.

– Przecież wciąż widziała pani w telewizji zdjęcie swojej córki. Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję?

– Jakie zdjęcie? – zapytała kobieta.

Biegler wyjął z akt fotografię, którą zrobił Eschburg.

Kobieta wzięła ją.

– Tak, widziałam ją. Ale kto to jest?

Sofia i Biegler zbaranieli. Ona nie kłamie, pomyślał. Był na siebie wściekły. Coś przeoczył.

– Myślałem, że to pani córka – powiedział.

Pokręciła głową.

– Nigdy nie widziałam tej dziewczyny. – Znów spojrzała na zdjęcie. – Usta ma podobne jak moja córka, ale to wszystko.

Ma podobne usta, pomyślał Biegler, może jest jeszcze jedna nieślubna córka?

– Sebastianowi zarzuca się, że ją zabił – powiedziała Sofia.

– Nie, Sebastian nie mógłby nikomu zrobić krzywdy – odparła kobieta.

– Zna go pani? – zapytała Sofia.

– Był tu kilka razy. Odziedziczył po ojcu domek myśliwski. Jego matka chciała go sprzedać, ale ojciec jeszcze za życia zapisał domek synowi.

– Był tu z pani córką? – zapytał Biegler.

Odłożył cygaretkę do popielniczki i pozwolił, by się dopaliła. Rzadko tak robił.

Kobieta przytaknęła.

– Niech państwo zaczekają – powiedziała i wyszła z sali. Wróciła po dwóch minutach. W rękach trzymała kartonowe pudełko. Usiadła przy stole i otworzyła je. Sofia wyjęła ze środka papiery. Były tam zdjęcia z wystaw Eschburga, wycinki z gazet, wywiady, recenzje jego prac.

– Pudełko należy do mojej córki – wyjaśniła kobieta. – Zebrała wszystko

o Sebastianie, zanim pierwszy raz go zobaczyła. Jest kimś najważniejszym w jej życiu. Złościła się na swojego ojca, chociaż nigdy go nie widziała. Ile razy wściekała się, krzyczała i przeklinała nas tu wszystkich. Rozumiem ją. Przecież trudno jest dorastać w tej wiosce bez ojca, trudno to zrozumieć, nie będąc stąd. Od zawsze chciała się wyrwać.

– A potem? – zapytał Biegler.

– Spotkała Sebastiana tuż po swoich szesnastych urodzinach. Nie mogłam jej od tego pomysłu odwieść. Pojechała na otwarcie jego wystawy w Rzymie. Potem dwa razy byli tu we dwoje – ciągnęła kobieta. – Dobrze się rozumieli, są do siebie bardzo podobni. Zanim odeszła, powiedziała, że od tej pory będzie częścią jego sztuki.

– Odeszła? Ma pani na myśli: umarła? – zapytała Sofia. Biegler kiwnął głową.

– Co też państwu przyszło do głowy! Kobieta spojrzała na nich z wyrzutem. – Nie, wyjechała do Szkocji. Sebastian opłaca jej pobyt w internacie, nazywa się Gordonstoun. Chce później studiować historię sztuki – dodała.

– Co? – Biegler i Sofia powiedzieli to równocześnie.

– Kiedy rozmawiała z nią pani ostatni raz? – zapytał Biegler.

– Wczoraj – odpowiedziała kobieta.

– Więc ona żyje? – spytała Sofia.

– Oczywiście, że żyje. – Kobieta siedziała wyprostowana przy stole i wpatrywała się w Sofię i Bieglera. – Czy coś jej się stało? Zadają państwo takie dziwaczne pytania.

– Nie – odparł Biegler. – Nic jej się nie stało.

– Proszę mi powiedzieć, czy mogą mi państwo wyjaśnić, o co miało chodzić z tą całą sztuką? Moja córka nie chce mi powiedzieć – spytała kobieta.

– Nie mam pojęcia – odparł Biegler. Uniósł ramiona i wstał. – Przykro mi, że musieliśmy zadać te wszystkie pytania – powiedział.

Wyszedł do ogrodu.

Biegler i Sofia przenocowali w dwóch jedynych pokojach gościnnych w gospodarstwie. Biegler źle spał. Dwa razy budził się, nie wiedząc, gdzie jest. Wstał o piątej. Chciał coś poczytać, ale jedyną książką była Biblia w szufladzie szafki nocnej.

Ubrał się i poszedł na rynek. Włożył jedynie cienki płaszcz. Wszędzie unosiła się mgła, prawie nic nie widział. Doszedł na koniec wsi i zawrócił, ale nie mógł znaleźć Złotego Jelenia. Wszystkie domy wydawały się identyczne. Chciał zapalić cygaretkę, ale zapalniczka nie działała. Usłyszał traktor, dopiero w ostatniej chwili włączyły się jego reflektory. Biegler musiał odskoczyć na bok. Rolnik przeklął i puknął się w czoło. Potem Biegler usłyszał płacz bitego dziecka. Pobiegł w kierunku, skąd dobiegał szloch, potknął się o próg jakichś drzwi, zachwiał i solidnie uderzył ramieniem o ścianę. To był kot. Siedział na parapecie i prychnął na niego. Biegler zaklął. Na czoło wystąpił mu zimny pot, bolało go ramię.

W końcu znalazł wejście do gospody. W środku wciąż było ciemno. Do siódmej siedział na łóżku w płaszczu, nie wiedząc, co ma zrobić. Wtedy usłyszał na korytarzu Sofię.

Wypili kawę w gospodarstwie. Biegler powiedział gospodyni, że chcieliby jeszcze zajrzeć do domku myśliwskiego Eschburgów. Klucz leżał kiedyś pod kamieniem na schodach, tak powiedziała kobieta, od narodzin córki tam nie była. Biegler chciał zapłacić, ale gospodyni odmówiła.

Sofia i Biegler pojechali autem wąską drogą prowadzącą w górę do domku myśliwskiego.

– Kim jest ta zaginiona dziewczyna na zdjęciu? – zapytał Biegler. – Kto zadzwonił na policję?

– Ojciec Sebastiana musiał mieć jeszcze jedno dziecko – powiedziała Sofia.

– Naprawdę pani tak sądzi?

- Nie – odparła Sofia.
- Ja również – powiedział Biegler. – Nie posunęliśmy się ani o krok.
- A jeśli powoła pan na świadków matkę i córkę?
- Wtedy trzeba by zbadać krew. Jeśli DNA byłoby zgodne z tym ze śladów krwi, którą znaleziono w toku postępowania, oznaczałoby to uniewinnienie, choć wszystko inne jest bardzo niejasne.
- A jeśli nie? – zapytała Sofia.
- Wtedy znów stoimy przed problemem. W ostateczności powołam na świadków je obie, zrobię tak. Jednak nie podoba mi się to. Przed sądem nie stawia się pytań, na które nie zna się odpowiedzi – odparł Biegler.

Zaczęło padać. Pod kamieniem leżącym na stopniu przy wejściu znaleźli klucz. Drzwi zacięły się. W domku prąd był wyłączony, okiennice zamknięte. Biegler wpadł na stojące przy drzwiach krzesło. Znalazł skobel i otworzył okiennicę. Skobel był zardzewiały i Biegler zaciął się w rękę. Owinął skaleczenie chusteczką higieniczną. Przeszli kolejno przez wszystkie pomieszczenia i otworzyli wszystkie okiennice.

- To okropne – powiedziała Sofia.
- Ojciec Eschburga rysował je na ścianach, były ich dziesiątki tysięcy, całe wnętrze domu było nimi zamalowane. Na każdej ścianie, na suficie, krzesła, stole i szafie narysowane były krzyże, malutkie, czarne, dwie wąskie kreski węglem. Musiało to zabrać wiele tygodni.
- Kiedy wszystko obejrzel, wyszli na zewnątrz. Usiedli na drewnianej ławce pod okapem. Długo słuchali, jak deszcz uderza o dach.
- Przypomina mi to Goyę, panie Biegler. On robił to samo. Na ścianach swojej rezydencji malował własne koszmary, *czarne obrazy*, olbrzymów pożerających ludzi i odgryzających im głowy. Być może to najlepsze, co namalował.

- Usta Sofii były sine. Biegler zdjął płaszcz i okrył nim jej ramiona.
- Wiadomo dlaczego? – zapytał.
- Goya ogłuchł i całkowicie zamknął się w sobie. Myślę, że ta jego samotność spowodowana była ułomnością.
- Biegler przytaknął.
- Cieszę się, że przyjechała pani ze mną.
- Zapalił cygaretkę, nie czuł jej smaku.

– Wie pani, że większość samobójców, jeśli ma taką możliwość, strzela sobie w głowę? Nie w serce, w głowę. To z przerażenia powodowanego sobą samym. Nie jesteśmy w stanie znieść własnej winy. Potrafimy wybaczyć każdemu, naszym wrogom, zdrajcom, ludziom, którzy nas oszukali. Tylko nam samym się nie udaje, nie potrafimy wybaczyć sobie. Tak ponosimy porażkę, przez siebie samych.

– Przecież ta kobieta go kochała – odrzekła po chwili Sofia.

– Nie uratowało go to – odparł Biegler. Rozprostował nogi. Na spodniach wciąż miał ślady psich łap.

– Ludzie się zmieniają – powiedziała Sofia.

– Ach, co też pani mówi, takie rzeczy pokazuje w swoich filmach James Stewart. Nie, ludzie się nie zmieniają, tak jest tylko w książkach. Stoimy obok siebie, prawie się nie dotykamy. Nie ma żadnego rozwoju. Przeżywamy coś, może się uda, a na ogół się nie udaje. Stajemy się tylko lepsi w odgrywaniu ról. Uczymy się ukrywać to, kim naprawdę jesteśmy – odpowiedział Biegler.

Sofia okryła się szczelnie płaszczem Bieglera.

– Może Sebastian znał historię swego ojca i historię czarnych obrazów Goi. Może dlatego zrobił zdjęcie *Mężczyzn Mai* – odparła.

– Być może. Kiedy właściwie rozstali się państwo? – zapytał Biegler.

– Krótko po tym, jak ją poznał. Nie wiedziałam, że to jego siostra. Powiedział, że musi być sam. Zadzwoił do mnie do Paryża dopiero na dzień przed aresztowaniem, jedenaście miesięcy po rozstaniu, jedenaście miesięcy, podczas których o mało nie zwariowałam. Powiedział, że mnie potrzebuje. Od razu przyjechałam do Berlina, ale on siedział już w więzieniu. Od tej pory odwiedzam go co dwa tygodnie w areszcie. Nie rozmawialiśmy o tej sprawie, on tego nie chciał. – Położyła dłoń na ramieniu Bieglera. – Tak bardzo za nim tęsknię. Zdaje mi się, jakby ktoś zaciągnął zasłony i wyłączył światło. Jaki to wszystko ma sens?

– Większość pytań pozostaje bez odpowiedzi. – Biegler spojrział na zegarek. – Jest pani zmęczona. Proszę położyć się w samochodzie, tam jest ciepłej – powiedział.

Wrócił do domku, zamknął okiennice i drzwi. Spoglądając w dół, zobaczył niewyraźnie zarysowujący się w oddali dach gospody.

Rozprawa główna miała rozpocząć się o godzinie dziewiątej. Przed sądem, na korytarzach i przed salą obrad stali dziennikarze z kamerami. Biegler nigdy jeszcze nie widział tylu reporterów podczas procesu. Poprzedniego wieczoru dwa największe programy informacyjne wspomniały o rozprawie. Widział prokurator Landau otoczoną przez mikrofony, ale w tym tłoku nie słyszał, co mówi. Przed rozprawą udzielił wywiadów dotyczących tortur prawie całej prasie, wziął nawet udział w talk-show, mimo że czuł do tego wstręt. Kiedy wchodził na salę, przewodniczący oparty o ławę sędziowską rozmawiał z protokolantką. Skinął w kierunku Bieglera.

– To będzie ciężki dzień – powiedział przewodniczący.

Biegler wzruszył ramionami.

– Szopka – odparł.

Kilka minut po tym jak Biegler usiadł, otworzyły się boczne drzwi, wpuszczone w drewnianą boazerię, i dwóch funkcjonariuszy wprowadziło na salę Eschburga. Mężczyzna usiadł obok Bieglera, sprawiał wrażenie opanowanego.

Minęło prawie trzydzieści minut, zanim dziennikarze i publiczność zajęli miejsca na sali. Strażnicy wielokrotnie prosili o ciszę. Kiedy sędziowie i ławnicy weszli, wszyscy, strony postępowania i publiczność, powstali z miejsc.

– Otwieram czternaste posiedzenie Wielkiej Izby Karnej – powiedział przewodniczący składu sędziowskiego. – Proszę usiąść.

Przewodniczący stwierdził obecność stron postępowania. Następnie zapytał Eschburga o jego imię i nazwisko, datę urodzenia i obecny adres zamieszkania.

– Jeśli nie ma żadnych wniosków, proszę przedstawicielkę prokuratury o odczytanie aktu oskarżenia – oznajmił przewodniczący.

Akt oskarżenia był krótki, jak w trakcie prawie każdego procesu z udziałem sędziów przysięgłych. Eschburg miał porwać i zabić swoją przyrodną siostrę. Jej ciała nie odnaleziono. W obliczu wyjątkowych okoliczności nie można zidentyfikować śladów zbrodni.

Pod togą prokurator Landau miała na sobie białą koszulę i apaszkę tego sa-

mego koloru. Przystojna kobieta, pomyślał Biegler. I od razu zezłościła go ta niestosowna myśl.

Przewodniczący wyjaśnił, że izba skierowała akt oskarżenia na rozprawę główną. Potem zwrócił się do Eschburga. Pouczył go o prawie do milczenia. Do tej pory wszystko przebiegało rutynowo, toczące się postępowanie wyglądało jak każde inne.

– Mamy więc teraz niespotykaną sytuację – powiedział przewodniczący. – Oskarżony ma z zasady prawo, by od razu ustosunkować się do aktu oskarżenia. W tym postępowaniu jednak wyjaśnić należy, czy przed przyznaniem się jeden z funkcjonariuszy policji nie zagroził Eschburgowi torturami. Jeśli okaże się to prawdą, jego przyznanie się nie będzie mogło zostać wykorzystane. Oskarżony mógłby znów zadecydować, jak postąpić, mógłby milczeć albo złożyć wyjaśnienia. Dlatego izba zdecydowała, by *przed* ewentualnymi zeznaniami oskarżonego wysłuchać policjanta. Czy strony postępowania zgadzają się na to, czy jest jakiś sprzeciw?

Biegler i Landau przytaknęli. Na informację o torturach wśród publiczności zapanował niepokój. Dziennikarze mieli na kolanach notatniki i robili zapiski.

Policjant, który przesłuchiwał Eschburga, ubrany był w garnitur i krawat. Przewodniczący zadał pytania: ile ma lat, gdzie mieszka, czy jest spokrewniony z oskarżonym. Funkcjonariusz udzielał szybkich i rutynowych odpowiedzi. Był przyzwyczajony do zeznawania przed sądem. Przewodniczący składu sędziowskiego pouczył policjanta, że musi mówić prawdę. Mężczyzna skinął głową.

– Podam teraz do wiadomości treść notatki prokurator Landau, znajduje się ona na sto piątej stronie czwartego tomu akt. – Przewodniczący odczekał, aż protokolantka to zapisze. Następnie powiedział: – Zgodnie z tą notatką miał pan podczas przesłuchania grozić oskarżonemu. Rzekomo powiedział pan, że jest on świnią i gwałcicielem. Ponoć groził mu pan torturami. Na skutek tego oskarżony miał przyznać się do winy. Podobno powiedział, że zabił tę młodą kobietę i pozbył się jej ciała. Przyznanie się miało nie być kompletne, ponieważ prokurator rzekomo przerwała przesłuchanie. Tyle znajduje się w notatce.

Przewodniczący pochylił się lekko do przodu i spojrział na policjanta.

– Proszę świadka, chciałbym się od świadka dowiedzieć, jak przebiegło to przesłuchanie. Zanim świadek odpowie, muszę jednak zwrócić uwagę, że wolno świadkowi odmówić odpowiedzi na pytania, jeśli odpowiadając na nie, mógłby świadek narazić się na odpowiedzialność karną. Wtedy może świadek zachować milczenie. Jednak jeśli świadek coś powie, musi to być zgodne z prawdą.

Przewodniczący odwrócił się do protokolantki i podyktował:

– Pouczony zgodnie z pięćdziesiątym piątym paragrafem kodeksu postępowania karnego. – Następnie znów zwrócił się do policjanta: – Ja również jestem zdania, że może pan nawet nie odpowiadać na *żadne* pytanie dotyczące przesłuchania. Może pan narazić się na zarzut wymuszenia, uszkodzenia ciała bądź innych przestępstw. Dlatego też nie musi pan nawet mówić, że przesłuchiwał pan oskarżonego.

– Chroni pana prawo – powiedział głośno Biegler.

– Panie obrońco, proszę przestać – powiedział przewodniczący. Znów zwrócił się do policjanta: – Pani prokurator Landau poinformowała sąd, że wszczęto przeciw panu dochodzenie. Może pan wybrać sobie adwokata jako doradcę prawnego świadka. Czy to wszystko jest dla pana zrozumiałe?

Policjant przytaknął.

– A zatem jak chce pan postąpić? – zapytał przewodniczący.

– Nie będę zeznawał – odpowiedział policjant. Jego głos był stanowczy.

Prokurator Landau podniosła wzrok znad akt.

Oczywiście zasięgnął porady, pomyślał Biegler. W takiej sytuacji były tylko dwie strategie: zaprzeczyć albo milczeć. Zaprzeczać już się nie dało.

– Nie mam więc do świadka żadnych pytań – powiedział przewodniczący.

– Czy któraś ze stron ma do świadka pytania, czy może on zostać zwolniony?

Prokurator Landau pokręciła przecząco głową.

– Ja mam kilka pytań do świadka – powiedział Biegler. Wśród publiczności znów zapanował niepokój.

– Proszę o ciszę – powiedział przewodniczący. Sędzia lekko zniecierpliwiony zwrócił się do Bieglera z przekąsem: – Oczywiście, panie obrońco, inaczej sobie tego nie wyobrażam. A zatem proszę.

Biegler nie wspomniał o zarzucie. Przejął pełnomocnictwo, by wyjaśnić tę jedną tylko sprawę. Musiał spróbować.

– Od jak dawna jest pan funkcjonariuszem policji? – zapytał.

– Od trzydziestu sześciu lat – odpowiedział policjant.

- Jak długo pracuje pan w wydziale zabójstw?
- Dwanaście lat.
- W ilu sprawach o zabójstwo prowadził pan dotąd śledztwo? – Biegler zetknął się z tym funkcjonariuszem jako świadkiem w wielu procesach. Odpowiedź znał.
- Nie wiem, było ich bardzo dużo – odparł policjant.
- Ile razy przez cały ten czas, od kiedy jest pan policjantem, a więc w ciągu trzydziestu sześciu lat, prowadzono przeciw panu postępowanie przygotowawcze?
- Jeszcze nigdy.
- Więc nie prowadzono przeciw panu żadnych postępowań w związku z groźbami, wymuszeniem, uszkodzeniem ciała lub innym czynem karalnym?
- To jest pierwszy raz. – Policjant spojrzał szybko na Landau. Nie zareagowała.
- Można więc powiedzieć, że jest pan bardzo doświadczonym policjantem, który zna prawo i jeszcze nigdy nie wszedł z nim w konflikt.
- Można tak powiedzieć.
- Krótco przed rozprawą główną udzielił pan wywiadu jednemu z tabloidów. Proszę o chwilę. – Biegler kartkował akta leżące na stole. – Mam go tutaj. – Podniósł w górę stronę z gazety.
- Nie znam tego wywiadu – powiedziała Landau.
- Proszę więc go sobie zdobyć – odparł Biegler – i więcej mi nie przerywać. – Zwrócił się ponownie do policjanta: – W tym wywiadzie miał pan powiedzieć, cytuję: „Proszę sobie wyobrazić, że terrorysta ukrył w Berlinie bombę atomową. Ma ona wybuchnąć za godzinę. Złapaliśmy terrorystę, ale nie wiemy, gdzie jest bomba. Muszę więc w tej chwili zdecydować. Mam go torturować i uratować cztery miliony ludzi? Czy siedzieć z założonymi rękami, nic nie robić?”. Czy to prawda, że tak pan powiedział?
- Nie chcę nic mówić na ten temat.
- Dlaczego? Bo mógłby pan sam się obciążyć? – zapytał Biegler.
- Świadcowi wolno odmówić odpowiedzi na to pytanie – odparła Landau.
- Doprawdy? – spytał Biegler i wciąż przyglądał się policjantowi. – Czy rzeczywiście nie chce pan potwierdzić tego, co powiedział pan gazecie o milionowym nakładzie? Ze strachu przed odpowiedzialnością karną? Tak jak przestępcy, których pan ściga?

– Panie przewodniczący, wnoszę o odebranie głosu obrońcy. To dręczenie świadka – oznajmiła Landau.

– Świadek jest na tyle doświadczony, by samemu podjąć decyzję – odparł przewodniczący. – Pouczyłem go. Wie, że nie musi odpowiadać.

Biegler wciąż patrzył na policjanta. Funkcjonariusz odwrócił się na krzesło w jego stronę. Nareszcie, pierwszy krok, pomyślał Biegler.

– Raz jeszcze: czy nie chce pan skomentować tego wywiadu? Nie chodzi tu o przesłuchanie świadka. Jedynie o pańskie nastawienie.

Policjant rozpiął dwa guziki marynarki.

– Dobrze – powiedział. Głośno wypuścił powietrze. – Wyciągnąłbym z terrorystów to zeznanie. Również za pomocą tortur, jeśli nie dałoby się inaczej. Moim zadaniem jest ochrona obywateli. Tego się trzymam.

Ktoś z publiczności zaczął bić brawo. Przewodniczący spojrzał na niego.

– Jeśli to się powtórzy, każę usunąć pana z sali – oświadczył.

– I co zrobiłby pan – ciągnął Biegler – jeśli mimo to zatrzymany nic by nie powiedział? Jest przecież terrorystą, został wyszkolony tak, by przetrzymać tortury. Wyśmiewa pana. Wie pan teraz jednak, że mężczyzna ma czternastoletnią córkę. Jest pan pewien, że zacznie mówić, jeśli będzie pan torturował córkę na jego oczach. Czy to też by pan zrobił?

– Nie, nie zrobiłbym tego. Córka jest niewinna.

– Niewinni są też ludzie w tym mieście – powiedział Biegler. – Mógłby pan uratować cztery miliony niewinnych istnień. Trochę tortur w zamian za uratowanie całego Berlina. To przecież uczciwe stawianie sprawy.

– Ja...

– Myśli pan więc: dziewczynka nic nie poradzi, że ma takiego ojca. Jest niewinna, nie wolno mi jej torturować.

– Zgadza się – odparł policjant.

– Więc nigdy nie wolno torturować niewinnych?

– Owszem.

– Ale co jest z tym pańskim terrorystą? Skąd pan wie, że to on jest winien? Tak po prostu? Na podstawie poszlak? A może pańskiego przeczucia? – zapytał Biegler.

– To był tylko przykład – odpowiedział policjant.

– Przykład dla studentów pierwszego roku prawa. Ja jednak pytam pana jako doświadczonego funkcjonariusza policji. Sądzi pan, że terrorysta przyjdzie na posterunek policji i powie: „Witam, jak się macie? Tak w ogóle to

ukryłem w Berlinie małą bombę atomową, za godzinę eksploduje, ale nie powiem wam gdzie”.

– Nonsens – odparł policjant. – W podanym przeze mnie przykładzie terrorystę obserwowalibyśmy miesiącami. Wiedzielibyśmy, że jest terrorystą, że jest winny.

– Uznanie winnym na podstawie obserwacji, rozumiem. A skąd wie pan, że ukrył bombę? Czy i to pan zaobserwował? A jeśli tak, to dlaczego wtedy pan go nie zatrzymał? Czemu nie sprawdzaliście połączeń z jego telefonu? Dlaczego nie zna pan jego informatorów? Dlaczego nie zrobiliście użytku z jego laptopa? Inaczej mówiąc: czy nie jest zawsze tak, że ma się o wiele więcej niż tylko tę suchą informację: terrorysta ukrył tykającą bombę? – zapytał Biegler.

– Ten przykład miał tylko uświadomić, w jak szczególnej sytuacji możemy się znaleźć – odparł policjant. – Chciałem przez to powiedzieć, że konieczne będzie sięgnięcie po bardziej radykalne środki.

– Ale przyznałby pan, że w rzeczywistości nie ma takiej sytuacji.

– Jak już powiedziałem, to jedynie przykład – powiedział policjant.

– W porządku. Jeśli dobrze rozumiem, torturowałby pan terrorystę, by dowiedzieć się od niego prawdy.

– Żeby móc rozbroić bombę – dodał policjant.

– Czy uważa pan, że wszystkie czarownice spały z diabłem? – zapytał Biegler.

– Co proszę?

– Chodzi mi o to, czy jest pan świadomy, że tortury zniesiono również dlatego, gdyż więźniowie im poddani przyznają się do wszystkiego? Nie mówią prawdy, tylko to, co oprawca chce usłyszeć. Za czasów inkwizycji wszystkie czarownice oddawały się diabłu, tak w każdym razie twierdziły, kiedy wystarczająco długo znęcano się nad nimi. Nawet papież w końcu zrozumiał, że to nie ma sensu. W pańskim przykładzie tykającej bomby nie może pan nawet przecież w porę sprawdzić, czy terrorysta mówi prawdę.

– Być może. Ale zapewne będę mógł znaleźć bombę i ją rozbroić – odparł policjant.

– Więc torturuje pan, ponieważ to „zapewne” pomoże?

– Ja... ja muszę to zrobić, żeby ratować ludzi.

– Rozumiem – powiedział Biegler.

– W moim przykładzie wiemy przecież, że ukrył bombę – odparł policjant.

– To jest właśnie wspaniałe w pańskim przykładzie. Pan wie wszystko. Również to, że osoba poddana torturom powie prawdę... Powiedział pan, że jako doświadczonemu policjantowi znane jest panu prawo.

– Tak.

– Również nasza konstytucja?

– Oczywiście – oznajmił policjant.

– Wie pan zatem, że każdego, również porywacza, ta konstytucja chroni. Czy jest pan świadomy, że torturami narusza godność człowieka?

– A co z godnością ofiary? – zapytał policjant.

– Wydaje mi się, że rozumiem, co ma pan na myśli – powiedział Biegler. – Podejmuje pan decyzję. Na przykład mówi pan sobie: porwane dziecko jest niewinne, winny jest porywacz. Zaprzepaścił swoją godność i wolno mi go torturować.

– Żeby uratować dziecko. To byłyby „tortury służące ratowaniu” – wyjaśnił policjant.

– „Tortury służące ratowaniu”? Cóż za zgrabne sformułowanie – oznajmił Biegler. – Byłoby to po prostu rodzaj ostrzejszego przesłuchania w szczytnym celu?

– Tak.

– Może pod nadzorem lekarskim?

– Byłoby to możliwe – odparł policjant.

– Długo po tym jak tortury zostały w tym kraju zniesione, naziści znów je wprowadzili. Oni również wymyślili na to specjalne określenie. Zna je pan?

– Nie.

– Mówili o „zaostrzonych metodach przesłuchań”. Brzmi podobnie jak „tortury służące ratowaniu”, nie uważa pan? Ale wróćmy do naszego przykładu. Według jakich kryteriów podejmuje pan decyzję?

– Jaką decyzję? – zapytał policjant.

– Musi pan przecież zdecydować, kogo pan torturuje – odpowiedział Biegler.

– Przecież już powiedziałem, dziecko jest niewinne, winny jest porywacz – powiedział policjant.

– Torturuje więc pan każdego winnego?

– Nie, tylko w wyjątkowych sytuacjach – odparł policjant.

– Niech pan sobie wyobrazi, że sprawca mówi panu: „Tak, porwałem dziewczynkę. Ale przebywa w ładnym domu, dostaje jedzenie, jest jej tam

ciepło i ma pod dostatkiem książek i gier”. Co wtedy pan robi? Torturuje pan?

– Ja... ja...

– Zatem – podjął Biegler – gdzie stawia pan granicę? Kiedy wolno panu torturować? Tylko kiedy porwana została dziesięcioletnia dziewczynka? Czy wolno panu torturować również wtedy, jeśli ofiarą jest pięćdziesięcioletni bezdomny, żyjący na marginesie społeczeństwa. Robi pan to, jeśli porwany został prezydent federalny. Jednak jeśli ofiarą jest znany gwałciciel, wtedy może lepiej już nie? Kto w pańskim świecie określa, kogo wolno torturować? Pan sam? Jak ktoś w rodzaju sędziego, prokuratora, adwokata i egzekutora w jednej osobie?

– Dosyć tego – powiedziała Landau.

– Wypraszam sobie! – krzyknął Biegler. – To już drugi raz. Jeśli pani chce, żeby sąd odebrał mi głos, proszę złożyć wniosek. Jesteśmy tu na rozprawie głównej, nie w programie talk-show, gdzie każdy może coś powiedzieć. Teraz ja mam prawo zadawać pytania, a pani milczy. – Znów się uspokoił i powiedział ciszej: – Proszę pozwolić nam spróbować zrozumieć świadka.

– Dopuszczam pytanie. Mnie też to interesuje – stwierdził przewodniczący składu sędziowskiego.

Policjant zastanowił się.

Po chwili powiedział:

– Nie jestem prawnikiem.

– Ale to nie było prawnicze pytanie – odparł Biegler.

– Zapytałbym sędziego – powiedział policjant.

– To jest zawsze dobra odpowiedź. Ale dlaczego nie zapytał pan sędziego śledczego w tej sprawie, czy wolno panu torturować?

– To trwałoby zbyt długo.

– Bzdura. Takie orzeczenie otrzymałby pan w ciągu dziesięciu minut – odparł Biegler. – Powiem panu, dlaczego nie zapytał pan sędziego. Wiedział pan, jaką podejmie decyzję. Wyrzuciłby pana z gabinetu. W dodatku sam pan chciał podjąć decyzję, całkiem sam, sam dla siebie. Chciał pan osądzić oskarżonego.

Policjant zrobił się czerwony. Powiedział głośno:

– Tak? Chciałem tego? Siedzi pan sobie w przytulnej sali rozpraw. Może pan sobie pozwolić, by górnolotnie mówić o godności człowieka. Ale my je-

steśmy tam na zewnątrz. Mamy chronić życie pana i pańskiej rodziny. Kiedy robi się niebezpiecznie, wzywacie nas. Wtedy mamy wszystko załatwić. A pan ma czelność porównywać mnie do hitlerowców! Niech pan się zastanowi, co byłoby, gdybym mógł uratować życie tej młodej kobiety? – Patrzył na Bieglera z rozchyłonymi ustami.

To porządny mężczyzna, pomyślał Biegler. Wszystko robi źle, ale powierzyłbym mu moją rodzinę.

Biegler odczekał. Na sali sądowej zrobiło się spokojnie, nawet strażnik przestał huśtać się na krześle. Wtedy Biegler cicho powiedział:

– Jestem adwokatem, nie odpowiadam na pytania, ja je zadaję. Tak przewiduje nasza procedura sądowa. Jednak mogę zrobić wyjątek, jeśli sąd na to zezwoli.

Przewodniczący przytaknął.

– Jeśli uratowałyby pan tę młodą kobietę, byłby pan bohaterem – oświadczył Biegler.

– Bohaterem? – Policjant wydawał się nieco zdezorientowany.

Biegler cicho mówił dalej:

– Tak, bohaterem tragicznym. Opowiedział się pan przeciw naszemu porządkowi prawnemu, przeciwko wszystkiemu, w co wierzę. Naruszył pan godność człowieka. Tej godności człowiek nie może nabyć i nie może jej stracić. Przez pańskie tortury człowiek staje się jedynie obiektem, służy tylko temu, by coś z niego wyciągnąć. Dlatego musiałby pan, jeśli zależałoby to ode mnie, zostać surowo ukarany za to, co zrobił. Odebrałbym panu emeryturę i zwolniłbym z pełnienia służby. Ale podziwiałbym pana, ponieważ poświęcił pan swoją przyszłość, ratując życie młodej kobiety. Skutki byłyby dla pana z pewnością potworne. Bohaterów się podziwia. Ale jako policjant byłby pan skończony.

– A jak w inny sposób miałbym zdobyć zeznanie? Jaka jest najlepsza metoda przesłuchania? – Policjant wyrzekł te słowa cicho i wbił wzrok w stół.

– Uprzejmość – powiedział Biegler. – Może pan zapytać każdego jeńca wojennego. On nigdy nie mówi o cielesnym cierpieniu. Mówi o samotności, opuszczeniu. Potrzebuje kogoś, kto z nim porozmawia jak z człowiekiem.

– A jeśli nie dostanę odpowiedzi? – zapytał policjant.

– No to pan jej nie dostanie – odparł Biegler.

Funkcjonariusz podniósł głowę i spojrzał na Bieglera.

– Może ma pan rację – powiedział – ale mimo to zrobiłbym to jeszcze raz.

Na sali sądowej znów zawrzało. Niektórych pytań lepiej nie zadawać, pomyślał Biegler.

Policjant sięgnął do kołnierzyka i rozluźnił krawat. Biegler widział, że jego koszula w tym miejscu zrobiła się wilgotna od potu.

– Czy są jeszcze pytania do świadka? Nie? Dziękuję, świadek jest wolny – powiedział przewodniczący.

Funkcjonariusz policji wstał, pokręcił głową i opuścił salę rozpraw.

A więc musimy teraz naradzić się w kwestii możliwości wykorzystania przyznania się do winy – powiedział przewodniczący. – Będziemy potrzebowali na to czasu. Widzimy się ponownie we czwartek o dziewiątej, strony postępowania sądowego zostały już wezwane. Przerywam rozprawę główną.

Dziękuję – powiedział Eschburg do Bieglera, kiedy zostali sami.

– To jeszcze nie koniec. W trakcie kolejnego postępowania przewodniczący zapyta pana, czy chce pan złożyć zeznania. Powinniśmy to omówić w więzieniu dziś po południu. Ale przede wszystkim musimy teraz wezwać na świadka pańską siostrę – powiedział Biegler.

– Nie – odparł Eschburg i pokręcił głową. Podał Bieglerowi złożoną kartkę. – Proszę tam pójść. Dostanie pan kopertę. Niech pan wszystko obejrzy, a potem proszę przyjść z powrotem do mnie. To będzie moje jedyne zeznanie w tym procesie. Niepotrzebna nam moja siostra.

Biegler wziął kartkę i rozłożył ją.

– To adres notariusza – powiedział.

Eschburg przytaknął.

– Kolejne zlecenie dla posłańca? – zapytał Biegler.

Eschburg uśmiechnął się.

– Proszę nie przeginać, panie Eschburg – powiedział Biegler. Wyszedł z sali. Na korytarzu odpowiedział na pytania dziennikarzy. Przez cały czas myślał tylko o kartce w swojej kieszeni.

Z sądu Biegler od razu pojechał pod adres, który podał mu Eschburg. Notariusz przywitał się z nim serdecznie, znali się ze studiów. Przekazał Bieglerowi dużą zapieczętowaną kopertę i życzył mu powodzenia.

Biegler otworzył kopertę jeszcze na ulicy. Zawierała pamięć USB i jakieś pismo. Pojechał taksówką do kancelarii i podłączył urządzenie do komputera. Pół godziny później do biura weszła sekretarka Bieglera. Zobaczyła go siedzącego przed otwartym laptopem. Śmiał się, jak nie on.

Biegler poprosił sekretarkę, żeby kupiła duży telewizor i kazała dostarczyć go do sądu. Zadzwoił do przewodniczącego składu sędziowskiego i wyjaśnił, że podczas składania wyjaśnień Eschburga potrzebny jest odbiornik. Po dłuższym zastanowieniu przewodniczący zgodził się. Poprosił Bieglera, by poinformował prokurator Landau.

Biegler pojechał do sądu, w pokoju adwokackim kupił dwie kawy z automatu i poszedł do gabinetu prokurator Landau.

- Przyniosłem kawę w plastikowych kubeczkach – powiedział.
 - Cudownie – rzuciła.
 - Proszę nie być tak sarkastyczną – odparł Biegler. Usiadł na krześle dla interesantów. Kawa wylała się z kubka na rękaw marynarki.
 - Zejdzie – powiedziała. – Wystarczy woda.
 - Dobrze – odpowiedział.
 - Niech pan tylko nie wetrze tego w materiał.
- Milczeli. Biegler wiedział, co zaraz nastąpi. Czuł się niezręcznie.
- Byłam pod wrażeniem tego, jak pytał pan policjanta – powiedziała Landau.
 - To zupełnie bez znaczenia – odparł Biegler.
 - Nie – powiedziała. – Popełniłam błąd, zostawiając tego policjanta samego z pańskim klientem. – Landau mówiła cicho.
 - W porządku. Rozmawiałem z przewodniczącym składu sędziowskiego.

Po zeznaniach funkcjonariusza sąd przyjmuje, że pani notatka jest prawdziwa. Przewodniczący przesłucha więc panią w charakterze świadka.

– Dziękuję – powiedziała Landau. Zdawało się, że jej ulżyło.

– No dobrze. Co powie pański klient podczas następnej rozprawy głównej? – zapytała.

– Zobaczy pani – oznajmił Biegler.

– Ze wszystkiego robi pan spektakl – odparła Landau.

– Może ma pani trochę racji. Ale to dlatego, że każde postępowanie jest spektaklem, nie sądzi pani? – zapytał Biegler. – Za pomocą słów, wniosków, świadków i dowodów rekonstruujemy czyny. Nasi przodkowie myśleli, że w ten sposób zło traci nad nami władzę. Nie było to takie głupie.

– Ja wciąż uważam, że Eschburg zabił tę kobietę – powiedziała Landau. – Nie ma innego wytłumaczenia.

– Zawsze jest jakieś inne wytłumaczenie – odparł Biegler.

– Coś pan sobie wmawia, panie Biegler.

– Czyżby? A nawet jeśli, to dlaczego nie? – powiedział Biegler.

– Dlaczego nie? Ponieważ to oczywiste, że nie jest dobrze coś sobie wmawiać.

– Absurd – odparł Biegler. – Kiedy idę do łóżka, też udaję, że śpię, dopóki nie zasnę.

Landau się roześmiała.

– Proszę być poważnym, panie Biegler. Pan w ogóle się nie boi?

– Co ma pani na myśli? – zapytał Biegler.

– A gdyby zeznanie pańskiego klienta było prawdziwe? Co, jeśli policjant miał jednak rację?

– Policjant schrzanił sprawę. Pozostałe dowody nie są wystarczające – powiedział Biegler. – To proste. Koniec kwestii.

– Jak może być pan tak obojętny? – zapytała Landau.

– Naprawdę pani tak uważa? – odparł Biegler.

– Tak, tak uważam.

Biegler zamknął oczy.

– Nie chodzi o pytanie, czy jestem obojętny, nie chodzi też o przestępców, którymi się co dzień zajmujemy. Chodzi jedynie o to, by pani, ja i sędziowie porządnie wykonywali swoje zadanie. Jeśli wciąż jeszcze pani tego nie rozumiała, to źle pani trafiła.

Landau zrobiła się czerwona. Nie powiedziała ani słowa.

– Podczas kolejnej rozprawy głównej Eschburg złoży wyjaśnienia – ciągnął Biegler. – Potrzebny mu do tego telewizor. Załatwiliśmy już taki z płaskim ekranem, który zostanie zamontowany w sądzie. Przewodniczący składu sędziowskiego się zgodził. Chciałem to tylko pani powiedzieć. – Wstał.

Biegler podał jej rękę. Nie chciał być taki opryskliwy.

– Wie pani, przy każdej nowej sprawie wydaje mi się, że choć raz mogę zrobić wszystko jak trzeba. Nigdy tak nie wychodzi. Zatem do jutra – powiedział.

– Do jutra – odpowiedziała Landau.

Poszedł do wyjścia okazałymi schodami. Strażnik pozdrowił go i życzył miłego wieczoru. Biegler również go pożegnał. Zobaczył swoje rozmyte odbicie w szybach starych drzwi: jakiś zbyt korpulentny mężczyzna z aktówką i kapeluszem. Drzwi zamknęły się za nim.

Wziął taksówkę do placu Savigny, poszedł do ulubionej kawiarni, zamówił podwójne espresso na wynos i usiadł na zewnątrz, by móc zapalić. Teczke położył na kolanach. Obok kawiarni na słupie ogłoszeniowym wisiała informacja o wystawie fotograficznej: „Europejska fotografia dwudziestego wieku”. Na zdjęciu znajdowała się naga kobieta na ciemnym tle. Biegler zamknął oczy.

Nagle rzucił: „Jestem idiotą”. Powiedział to głośno, goście przy stolikach odwrócili się w jego stronę.

Znalazł telefon i zadzwonił do sekretarki.

– Pokazywała mi pani, że pani komputer potrafi też tłumaczyć – powiedział. Musiał odczekać chwilę, aż sekretarka otworzy stronę. – Proszę sprawdzić, czy ukraińskie słowo „Finks” oznacza coś po niemiecku. – Słyszał, jak pisze na klawiaturze.

– Nie, nic.

– A Senja Finks?

– Też nic.

– Ten internet jest do niczego, zawsze tak myślałem. Proszę się nie rozłączać – powiedział Biegler. Przytrzymał telefon między ramieniem i uchem. Wyjął z płaszcza notatnik, otworzył go i zaczął w nim bazgrać ołówkiem. – Niech pani najpierw wpisze pierwszą literę imienia i nazwisko.

SFINKS, Biegler przeliterował to słowo.

– Mam to. Chwileczkę, tak, tu jest napisane: Sfinks to kobieta z uskrzydłonym ciałem lwa, która połyka każdego, kto nie odgadnie zagadki.

– Wiem, kto to jest – odparł Biegler i rozłączył się.

Dopił kawę, wstał i zapłacił. Kiedy stał na chodniku, zanucił standard Oscara Petersona *On A Clear Day*. Nagle zatrzymał się i postawił teczkę na ziemi. Poruszył biodrami, przekręcił czubkami butów, zgiął lekko ramiona i zrobił cztery, pięć kroków twista. Konrad Biegler tańczył.

Dzień dobry, panie i panowie – powiedział przewodniczący składu sędziowskiego. – Otwieram posiedzenie czternastej Wielkiej Izby Karnej sądu krajowego. Kontynuujemy rozprawę główną. – Przewodniczący spojrział na Eschburga, Bieglera i Landau.

– Czy w tej chwili wiadomo już coś o przyrodniej siostrze oskarżonego? – spytał.

Prokurator Landau odchrząknęła.

– Mam tu raport policji kryminalnej z Fryburga. Według ksiąg urzędu stanu cywilnego matka oskarżonego była zamężna dwa razy. Z pierwszego małżeństwa pochodzi jedno dziecko, mianowicie oskarżony. Z drugiego małżeństwa nie było dzieci. Matka oskarżonego ma porażenie poprzeczne. Cztery lata temu uległa wypadkowi podczas jazdy konnej.

– Więc przyrodnia siostra jest ze strony ojca oskarżonego – powiedział przewodniczący.

– Tak – odpowiedziała Landau.

– I? – zapytał przewodniczący.

– Nie mogliśmy nic ustalić – oznajmiła Landau.

– Czy ma pani inne dowody, o których jeszcze nic nie wiemy? – zapytał przewodniczący.

Landau pokręciła przecząco głową.

– A czy są inne ślady, które zostaną zbadane? – zapytał przewodniczący.

– Nie, nie mamy żadnych przesłanek do prowadzenia śledztwa.

– Panie Biegler? Chce pan coś dodać?

Biegler pokręcił przecząco głową.

– Wydaję więc następujące postanowienie sądu przysięgłych: przyznanie się oskarżonego nie może zostać wykorzystane.

Na sali zawrzało. Jakiś mężczyzna krzyknął: „Morderca!”. Przewodniczący składu sędziowskiego kazał usunąć go z sali. Następnie odczytał uzasadnienie postanowienia. Z ludzkiego punktu widzenia zachowanie prowadzącego śledztwo funkcjonariusza policji jest zrozumiałe, powiedział, ale kodeks postępowania karnego przewiduje za to wykroczenie tylko jedną kon-

sekwencję: przyznanie się oskarżonego nie może zostać wykorzystane. Eschburg będzie potraktowany tak, jak gdyby nie przyznał się do czynu. To było długie orzeczenie. Sędziowie napisali je pod kątem sądu odwoławczego, chcieli porządnie uzasadnić werdykt. Kiedy przewodniczący skończył, spojrział na Eschburga.

– Czy zrozumiał pan nasze postanowienie? – zapytał. – Chce pan jeszcze naradzić się ze swoim obrońcą?

– Wszystko rozumiałem – odparł Eschburg.

– Dobrze. Zatem pouczam pana, że nie musi pan składać wyjaśnień. Pańskie wcześniejsze przyznanie się nie może być wykorzystane. Jeśli zachowa pan milczenie, ono także nie może zostać wykorzystane przeciw panu. Zrozumiał pan to?

– Tak – odpowiedział Eschburg.

Przewodniczący zwrócił się do protokolantki:

– Proszę odnotować, że oskarżony został pouczony. – Zwrócił się do Bieglera: – Jeśli dobrze pana rozumiałem, pański klient chciałby dziś złożyć oświadczenie.

Biegler przytaknął.

– Proszę bardzo – powiedział przewodniczący.

Eschburg wstał.

– Może pan siedzieć – powiedział przewodniczący.

– Dziękuję, chętnie postoję. – Poprawił znajdujący się przed nim mikrofon. Potem z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął kartkę i zaczął czytać: – W tysiąc siedemset siedemdziesiątym roku baron Wolfgang von Kempelen zaprezentował austriackiej cesarzowej maszynę cudów. Drewniany manekin naturalnych rozmiarów siedział przy szachownicy. Pod spodem znajdowała się skrzynia z kołami zębatymi, wałkami, tarczami, pasami i kołowrotkami. Drewniana figura przebrana była za Turka. Goście mogli wyzwąć Mechanicznego Turka na partię szachów. Przed grą baron nakręcał mechanizm za pomocą klucza. Następnie Turek swoim drewnianym ramieniem przesuwiał figury po szachownicy. Wygrywał prawie każdą partię. Baron wyruszył z nim w podróż po Europie. Mechaniczny Turek stał się bardzo popularny, maszyna grała z największymi szachistami tamtych czasów. Uczni próbowali wyjaśnić jego działanie. Powstawały na ten temat książki, memoriały, artykuły prasowe i odczyty. Nikt nie pojmował, jak Turek działa. Również Napoleon oraz Benjamin Franklin z nim przegrali. Pisał o nim Edgar Allan

Poe, a dużo później niemiecki prezydent federalny. Automat spłonął w muzeum w Filadelfii, w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym.

Eschburg zrobił krótką przerwę. Napił się wody. Sędziowie i prokurator spoglądali na niego. Na sali sądowej panowała cisza. Biegler oparł się na krześle, złożył ręce na brzuchu i zamknął oczy.

– Mechaniczny Turek był oczywiście mistyfikacją. Tak naprawdę żadna maszyna tamtych czasów nie potrafiła grać w szachy. Wśród mechanizmów siedział ukryty człowiek, to on rozgrywał partię. Mechaniczny Turek nie był jednak niczym wyjątkowym. To Wolfgang von Kempelen był niezwykły. Nie można nazwać go oszustem. Był zdolnym naukowcem, człowiekiem wykształconym i wysokim urzędnikiem. Prowadził austriackie wydobywanie soli w Banacie. Pisał sztuki teatralne i tworzył grafiki pejzażowe. Później wynalazł maszynę do pisania dla niewidomych oraz urządzenie, które potrafiło wypowiadać pełne zdania. Gdy powstawały coraz to nowe teorie na temat tego, jak działa automat do szachów, Kempelen otwarcie mówił, że wszystko przecież opiera się na oszustwie. Ale nikt ani myślał go słuchać.

Eschburg położył kartkę na stole. Spojrzał na sędziów. Potem usiadł.

Biegler wręczył tekst przewodniczącemu składu sędziowskiego.

– Czy to pańskie oświadczenie? – zapytał Eschburga przewodniczący. Jego głos był zachrypnięty.

– Tak – odpowiedział Eschburg.

– Oraz pański podpis?

Eschburg przytaknął.

– Zatem wpisujemy oświadczenie do protokołu rozprawy głównej. – Przewodniczący podał kartkę protokolantce. Zwrócił się do Eschburga: – Tego, co teraz powiem, nie omawiałem z członkami składu sędziowskiego. Mimo to chciałbym, żeby pan to wiedział: nic nie rozumiem. Został pan postawiony w stan oskarżenia o morderstwo. Przez ponad cztery miesiące przebywał pan w areszcie śledczym, a teraz opowiada o jakimś Mechanicznym Turku?

– Już powiedziałem, że mój klient nie będzie odpowiadał na żadne pytania – wyjaśnił Biegler, nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu. – Może dobrze byłoby, gdyby nieco zastanowiliby się państwo nad tym oświadczeniem.

Landau wyglądała na wściekłą.

– To nie jest przecież sensowne uzasadnienie oskarżenia – powiedziała.

– Owszem, jest – odpowiedział Biegler i otworzył oczy. – I jeśli wolno, dodam: pojęcie *szachrować* wzięło się od tego Mechanicznego Turka.

Przewodniczący uniósł rękę. Znowu spojrzał na Eschburga.

– Ma pan doświadczonego obrońcę, von Eschburg. Z pewnością naradził się pan z nim. Mimo to nie rozumiem, o czym pan mówi. – Przewodniczący odczekał chwilę.

Eschburg nie zareagował.

Przewodniczący wzruszył ramionami i zwrócił się do Bieglera:

– Czy to wszystko, żadnych pytań do oskarżonego?

– To wszystko – powiedział Biegler.

– Czy są poza tym jakieś wnioski lub oświadczenia? – zapytał przewodniczący.

– Tak – oznajmił Biegler. Otworzył oczy i pochylił się do przodu. – Druga część oświadczenia oskarżonego to film wideo. Za zgodą sądu teraz go odtworzymy.

Dwóch strażników zaciągnęło żółte zasłony. Na sali zapadł półmrok. Za pomocą pilota Biegler włączył wielki telewizor. Ekran stał za ławą sędziowską, wszyscy na sali go widzieli.

Była to animacja komputerowa. Na ekranie pojawił się Mechaniczny Turek. Poruszał ramieniem i grał z niewidocznym przeciwnikiem. Kamera pokazywała szachownicę. Turek grał coraz szybciej, strącał figury z planszy. Na koniec został tylko czarny król, dwie czarne wieże i biały pionek. Na ekranie widać było figury w zbliżeniu. Czarny król i wieże miały na sobie sędziowskie togi. Z góry spoglądały na białego pionka. Pionek pokłonił się. Później zamienił się w ciecz, biały płyn rozlał się po szachownicy i wsiąkł, zniknął w automacie.

Otworzyły się jedne z drzwi pod maszyną z szachownicą. Z pudła, pomiędzy walców i kół zębatych, wyłoniła się młoda naga kobieta. Jej skóra miała taki sam kolor jak ciecz. Stała odwrócona plecami do kamery. Powoli się odwracała. Na jej skórze narysowane były setki małych czarnych krzyży. Kamera najechała na jej twarz. Była to twarz przyrodniej siostry Eschburga.

Z lewej i prawej strony wyłoniły się z ciemności dwie kolejne twarze, Eschburga i Sofii. Wszystkie trzy twarze miały tę samą wielkość i były równie jasne. Skalpel wyciął oczy Sofii i nos Eschburga. Następnie oba fragmenty zostały przesunięte na zdjęcie jego przyrodniej siostry, pozostały jedynie jej usta. Wielka gumka do ścierania wygładziła brzegi cięcia. Nowe obli-

cze składało się z twarzy Sofii, Eschburga i siostry, i wszyscy na sali je znali. Podczas przeszukania to zdjęcie znaleziono rozwieszona w całym atelier Eschburga, a następnie pokazywano je w wiadomościach telewizyjnych i gazetach. To była kobieta, której szukała policja.

Kobieta o nowej twarzy odwróciła się i podeszła do Mechanicznego Turka. W ręku miała broń. Strzeliła w głowę manekina. Kamera podążyła za pociskiem, głowa kukły rozprysła się na tysiące kulek. Miały ciemnozielony kolor i ułożyły się w tekst:

Słać się w dół rzek niespodzianego światła.

Wtedy ekran zgasł.

Na ławkach dla publiczności zrobiło się głośno. Kilku dziennikarzy wybiegło na zewnątrz, żeby zadzwonić do redakcji. Strażnicy rozsunęli zasłony. Przewodniczący składu sędziowskiego wielokrotnie próbował zaprowadzić spokój na sali, potem powiedział do jednego ze strażników, by zanotował nazwiska osób zakłócających porządek.

Kiedy znów zapanował spokój, Biegler wstał.

– Panie przewodniczący, równocześnie z prezentacją tego filmu w sądzie został on upubliczniony w internecie na platformach wideo. Przekazuję panu jeszcze dwa pisma. Pierwsze to badanie DNA przyrodniej siostry Eschburga. Nie pozostawia ono żadnych wątpliwości, zostało przeprowadzone w obecności notariusza przed rokiem przez laboratorium medyczne w Austrii. Materiał DNA z krwi i naskórka, który został znaleziony podczas naszego postępowania, pokrywa się z DNA przyrodniej siostry mężczyzny.

Drugie pismo nadeszło z posterunku w Elgin, w Szkocji. Na moją prośbę przyrodnia siostra Eschburga stawiała się wczoraj na policji. Wylegitymowała się. Uczęszcza do tamtejszego internatu. Policja przekazała mi wczoraj jej zdjęcie, które dołączyłem. To ta kobieta z krzyżami, którą widział pan na filmie. Co najważniejsze, jest absolutnie żywa. Mogę ująć to inaczej, pani prokurator, drogie panie sędziny i panowie sędziowie, nie znaleźli państwo zwłok, bo żadnych zwłok nie ma. Nigdy nie było zaginionej kobiety. Oskarżyliście państwo Eschburga o zabójstwo... instalacji.

Po tym oświadczeniu zrobiło się tak głośno, że przewodniczący składu sędziowskiego musiał przerwać rozprawę główną. Długo trwało, zanim publiczność opuściła salę.

To było najdziwniejsze, czego kiedykolwiek doświadczyłem w sądzie – powiedział Biegler, kiedy został sam z Eschburgiem. – Niech pan powie, to był przypadek, że policjant chciał pana torturować, prawda?

– Oczywiście. Nie mogłem tego zaplanować – odparł Eschburg. – Jednak wiedziałem, że jakoś pan sobie z tym poradzi.

– Ale dlaczego pan to zainscenizował? Mogło to się przecież nie udać. Po co ten szalony wysiłek? Dla pańskiej siostry? Dla sztuki? Prawdy? – pytał Biegler.

Eschburg spojrzał na niego.

– Wzrok Tycjana robił się pod koniec jego życia coraz słabszy. Ostatnie obrazy artysta malował palcami.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytał Biegler.

– Nie mógł ścierpieć niczego, co dzieliło go od obrazów. Tycjan malował samym sobą – powiedział Eschburg. Wyglądał na wyczerpanego, miał zapadnięte policzki.

Biegler potrząsnął głową.

– Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiem, teraz jestem zbyt zmęczony. – Zdjął płaszcz z wieszaka i ubrał się.

– Mam jeszcze jedno pytanie, panie Biegler, zadała mi je kiedyś pewna przyjaciółka. Po tym wszystkim, co tu się stało: czym jest wina? – spytał Eschburg.

Biegler spojrzał w kierunku ławy sędziowskiej. Pomyślał o tych wszystkich procesach, które na tej sali prowadził, o mordercach i handlarzach narkotyków, o przegranych ludziach.

– Strażnik zaprowadzi pana do pańskiej celi – oznajmił. – Może pan spakować swoje rzeczy, za pół godziny Sofia odbierze pana sprzed wyjścia z aresztu. Niech pan będzie dla niej miły, to naprawdę dobra kobieta.

Kiedy Biegler stanął przed drzwiami sali, biegnący dziennikarze prawie go przewrócili, krzyczeli jeden przez drugiego. Za nimi stała ubrana w kostium kobieta, była oparta o ścianę. Biegler rozpoznał jasną bliznę na jej czole. Ze

spokojem skinęła głową w jego kierunku. Wyglądała zupełnie tak jak Senja Finks, opisana przez Eschburga. Biegler próbował do niej podejść, ale dziennikarze nie chcieli go przepuścić. Kiedy w końcu mu się udało, kobiety już nie było. Biegler wzruszył ramionami. Winny?, zapytał w myślach. Winny jest człowiek.

Dwa tygodnie później Sebastian von Eschburg został uniewinniony.

Biały

Eschburg wszedł do rzeki za mostem. Woda była zimna i mocno napierała na kalosze. Miał ze sobą słomiany kosz i starą wędkę, ale nie skupiał się na łowieniu. Co jakiś czas przystawał na środku rzeki, żeby zapalić. Z kieszeni kurtki wyciągnął papierośnicę z jadeitem i palcami przesunął po japońskich literach po jej wewnętrznej stronie. Myślał o Sofii i ich synu. Niedługo zabierze go na ryby. Nauczy go, jak zarzucać wędkę, gdzie znajduje się zacienione miejsce, w którym w upalne dni pływają pstrągi, i jak upiec rybę na kijku nad ogniskiem. Nie wiedział, czy zrobił wszystko właściwie i czy w ogóle istnieje właściwe rozwiązanie.

Co rano wstajemy, pomyślamy, przeżywamy swoje życie, wszystkie te drobnostki, pracę, nadzieję, seks. Uważamy, że to, co robimy, jest ważne, i że coś znaczymy. Wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni, że w miłości znajdziemy oparcie, tak jak i w społeczeństwie oraz miejscach, w których żyjemy. Wierzymy w to, bo inaczej się nie da. Ale czasami przystajemy, na czasie robi się rysa i w tym momencie zaczynamy rozumieć, że jesteśmy w stanie dostrzec jedynie własne odbicie.

Wtedy stopniowo powracają do nas: śmiech obcej kobiety na korytarzu, popołudnia po deszczu, zapach mokrego lnu, irysów i ciemnozielonego mchu na kamieniach. I robimy wszystko dalej, tak jak zawsze robiliśmy i jak już do końca będziemy robić.

Latem pola, ciągnące się aż po brzeg, są jasne. Eschburg szedł w dół rzeki. Zarzucił daleko wędkę. Przez krótką chwilę mucha unosiła się na wodzie, mieniła się w słońcu na zielono, czerwono i niebiesko. Później rzeka porwała ją ze sobą.

Nota

Historie opisane w tej książce oparte są na prawdziwych wydarzeniach.
– Doprawdy? – zapytał Biegler.

Przekład: Anna Kierejewska

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Filip Modrzejewski

Konsultacja prawnicza: Aleksandra Stepanów

Korekta: Justyna Kot, Katarzyna Przeździecka, Katarzyna Zegarek, Małgorzata Denys

Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Fragment z wiersza Dylana Thomasa *Fern Hill* w rozdziale 10 z części „Niebieski” w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

Projekt okładki: © Ferdinand von Schirach · zdjęcie: Michael Mann

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-334-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp.](#)

[z o.o.](#)

i Aleksandra Łapińska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow